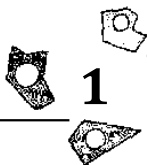


Nie dla mamy, nie dla taty,
lecz dla każdej małolaty



**JUTRO PRZYJDZIE
WIĘKSZA FAŁA**

Jackie Stevens



Linda, po raz czwarty w życiu lecąc samolotem, pomyślała o swoim dziadku, który odrzucał ten sposób przemieszczania się, i to tak zdecydowanie, że kiedy przed dwoma laty jego ukochana wnuczka Meg - starsza siostra Lindy - wychodziła za mąż, nie poleciał wraz z resztą rodziny na jej ślub do Seattle.

- Gdyby pan Bóg chciał, żebym latał, urodziłbym się ze skrzydłami - kwitował każdą próbę namówienia go do podróży i wcale nie przekonywał go argument, że pół życia spędził na morzu, chociaż nie urodził się z płetwami.

Ten lot był dla Lindy gorszy niż poprzednie. Nie wiedziała tylko, czy z powodu tych turbulencji, o których mówił kapitan, czy tych, które targały jej sercem.

Znów przypomniała sobie dziadka, mówiącego, że w samolocie najgorsze jest to, że nie można z niego wysiąść,

dopóki nie doleci się na miejsce.

Ile razy w ciągu ostatnich sześciu godzin pragnęła „wysiąść”...?

Dlaczego nie posłuchała Meg, która na lotnisku w Seattle, po tym, kiedy już Linda przeszła przez bramkę, wołała: „Zostań, jeśli nie jesteś pewna, czy powinnaś lecieć!”?

Linda nie zatrzymała się wtedy, nawet nie zerknęła przez ramię. W obawie, że się rozmyśli, przyspieszyła kroku.

Teraz poczuła silny ucisk w dołku, może dlatego, że samolot zaczął ostro schodzić do lądowania, a może z powodu żalu, że nie posłuchała siostry.

Kiedy samolot, zmieniając kierunek lotu, mocno pochylił się na skrzydło, spozrzała w okno. Serce zaczęło bić jej szybciej, gdy zobaczyła czerń wulkanicznych skał i głęboki błękit oceanu, poprzecinany białą załamujących się fal.

W ciągu minionego roku, spędzonego w wielkim zimnym mieście, ten widok pojawiał się tylko w jej snach; na jawie była dostatecznie czujna, żeby go od siebie odpędzać. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo za nim tęskniła.

- Pierwszy raz na Hawajach? - spytał siedzący przy oknie mężczyzna w barwnej kwiecistej koszuli.

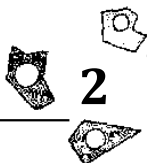
Linda spojrzała na niego, jakby nie zrozumiała pytania, ale po chwili skinęła głową.

- Spodobają ci się - powiedział, uprzejmie przesuwając się tak, żeby nie zasłaniać jej okna. - Ja przylatuję tu co roku.

Był mity, ale nie darował sobie nieco protekcyjnego tonu turysty, który przyjeżdża w jakieś miejsce po raz któryś, wobec turysty nowicjusza.

Tylko że Linda nie była turystką nowicjuską. W ogóle nie była turystką. Wracała do domu.

Cieszyła się z tego powrotu, ale jeszcze bardziej się bała.



Linda, tak jak inni pasażerowie, którzy przybyli na Wielką Wyspę na wakacje, została przywitana *lei*, tyle że w jej naszyjniku - w przeciwieństwie do tamtych - nie było sztucznych kwiatów, lecz prawdziwe *lokalani* o różowych płatkach i srebrzystozielone liście drzewa *kukui*.

- Jak dobrze być w domu - powiedziała. Obawiała się jednak, że nikt tego nie usłyszał, ponieważ ojciec przytulił ją tak mocno, że jego potężna klatka piersiowa stłumiła jej głos.

Kiedy trochę zwolnił uścisk, Linda wytarła oczy koszulą taty. Okazało się, że dziadek ją usłyszał.

- W domu będziesz dopiero za chwilę - sprostował. Jego niechęć do samolotów obejmowała również lotniska, bo w hali przylotów, pełnej rozgorączkowanych, hałaśliwych turystów, najwyraźniej czuł się nieswojo. -

Chodźmy już - ponaglił.

Ale dopiero po kilku minutach, po kolejnej rundzie uścisków i pocałunków, Linda i dziesięć osób, które zjawily się, żeby ją przywitać, wyszli na zewnątrz.

Jeszcze dłużej niż powitanie trwało podjęcie decyzji, kto ma zająć miejsce w którym samochodzie. Każdemu zależało na tym, żeby jechać z Lindą, a ona nawet na te pół godziny, które miała zająć droga do domu, nie chciała się rozstawać z żadnym z nich - ani z mamą, ani z tatą, ani z braćmi i kuzynami, ani ze swoimi przyjaciółkami, Coral i Marshą.

W końcu głos zabrał dziadek i choć nie wszystkim się spodobało to, co powiedział, jak zwykle nikt nie zaprotestował.

- Linda jedzie ze mną - oświadczył. Spojrzał na matkę Lindy, w której oczach wciąż lśniły łzy radości. Zawsze miał słabość do synowej, nic więc dziwnego, że i tym razem nie pozostał ślepy na jej błagalne spojrzenie. - I jej mama. I... - przebiegł wzrokiem po wszystkich twarzach - Coral i Marsha.

Dziewczyny przez chwilę piszczały z radości, po czym, obawiając się, że dziadek zmieni zdanie, szybko wraz z przyjaciółką wskoczyły na tylne siedzenie jego zielonego chevroleta.

Bracia Lindy, Terry i Mick, mieli wprowadzić za-

wiedzione miny, ale bez słowa zajęli miejsce w samochodzie ojca, razem z dziewczyną Terry'ego, Celią, oraz kuzynami - Bobem i Larrym.

Dziadek już włączył silnik i zamierzał ruszać, lecz Linda zawołała:

- Zaczekaj chwilkę, proszę!

Ku zdziwieniu jego, mamy i przyjaciółek wyskoczyła z samochodu.

- Wracaj, bo zmokniesz - upomniała ją matka, opuszczając szybko.

- Co jej się stało? - spytała Coral.

- Nie mam pojęcia - mruknęła Marsha.

- Mówiłem, że nie powinna lecieć do tego przekłętego Seattle - powiedział dziadek bardzo zmartwionym głosem. - Każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie, wie, że ludzie, którzy opuszczają Wielką Wyspę, prędzej czy później wariują. Ale nikt mnie nie słuchał.

- Nie opowiadaj takich... - Mama Lindy zreflektowała się w ostatniej chwili. Nie mogła powiedzieć najstarszemu członkowi rodziny, że opowiada bzdury, zwłaszcza że jej teść zasługiwał na szacunek nie tylko z powodu wieku.

A do tego Linda rzeczywiście nie zachowywała się zupełnie normalnie.

Stała w strugach deszczu z rozłożonymi rękami i skierowaną w górę twarzą.

Wróciła do samochodu, kompletnie mokra, dopiero kiedy deszcz - równie niespodziewanie, jak runął z nieba - przestał padać.

- Boże, jak mi brakowało deszczu - szepnęła, gramoląc się na tylne siedzenie, tak żeby zająć miejsce między przyjaciółkami.

- Myślałam, że Seattle to deszczowe miasta - powiedziała Coral.

- Deszcz...? - Linda zamyśliła się. - Hmm... No tak... W Seattle często z nieba leci woda... Ludzie mówią na to deszcz... Jaki ten angielski jest ubogi...

Marsha i Coral popatrzyły na siebie i obie jednocześnie wzruszyły ramionami. Nie miały zielonego pojęcia, co przyjaciółka ma na myśli.

Mama Lindy zerknęła na córkę z wyraźnym niepokojem.

Tylko w spojrzeniu siedzącego za kierownicą staruszka, który odwrócił się na sekundę, krył się jednoznaczny sygnał. Dziadek wiedział, o czym mówi Linda.

I kiedy dwie minuty później zawołała: „Muszę na chwilę wysiąść!”, nie wahał się ani sekundy. Zahamował, zjechał na pobocze i wyłączył silnik.

- Co jej się stało? - Mama Lindy teraz była już poważnie wystraszona. - Chyba miałeś rację. Nie powinnam była jej pozwolić opuszczać domu - zwróciła się do teścia.

Uśmiechnął się tym swoim uśmiechem, w którym nie brały udziału usta, tylko oczy, i pokręcił głową.

- Nie? - Jego synowa już nic nie rozumiała.

Patrzyła na córkę, która odeszła kawałek, zatrzymała się i spojrzała w niebo.

- Na co ona się tak gapi? - spytała Coral.

- A skąd ja mam wiedzieć? - szepnęła Marsha.

Kiedy mama Lindy położyła rękę na klamce i zrobiła taki ruch, jakby chciała wysiąść z samochodu, teść powstrzymał ją, kładąc dłoń na jej ramieniu.

Znów pokręcił głową i powiedział cicho, ale zdecydowanie:

- Zostaw ją.

Synowa bezradnie rozłożyła ręce, nie próbowała jednak mu się sprzeciwić. Coral i Marsha patrzyły na siebie, zaskoczone dziwnym zachowaniem przyjaciółki. Wszystkie trzy cieszyły się, że Linda znów jest w domu, ale radości towarzyszyła obawa, że być może rok spędzony przez nią w Seattle to za mało, by zaleczyć głęboką ranę w jej sercu.

- Wiesz, w co ona się tak wpatruje? - zwróciła się synowa do teścia.

- Pewnie.

- W co?

- W tęczę - odparł.

- W tęczę? - zdziwiła się.

- W tęczę? - zawtórowały siedzące z tyłu dziewczyny.

Dla mieszkańców Hawajów, zwłaszcza tych z Wielkiej Wyspy, gdzie deszcze padają kilkanaście razy dziennie i zanim ustają, już świeci słońce, tęcze są widokiem tak zwyczajnym, że nikt nie zwraca na nie uwagi.

Chyba że ktoś - tak jak Linda - opuścił wyspę na długo i mógł zobaczyć tęczę tylko w snach. Podobnie jak wulkaniczne skały, tak rozgrzane, że po deszczu unosiły się z nich kłęby pary.

Idąc poboczem drogi, Linda doszła do jednej z takich skał. Zatrzymała się i obserwowała, jak w ciągu kilkunastu sekund jej powierzchnia zmienia się z mokrej, szklisto - czarnej w suchą - matową i ciemnoszarą.

- Chryste Panie! Co ona robi?! - przeraziła się matka, kiedy córka przyłożyła dłoń do skały i natychmiast ją cofnęła. - Czy ona nie wie, że w ten sposób można się oparzyć?

Dziadek Lindy uśmiechnął się. Widząc, że wnuczka idzie dalej poboczem, włączył silnik i wolno ruszy! za nią. Dziewczyna doszła do olbrzymiej paproci, tak wielkiej, że mogłaby się cała za nią skryć, ale zatrzymała się przy niej tylko na kilka sekund, bo kawałek dalej, na zmurszałym pniu, rosły bladofioletowe orchidee.

- Co ona tam widzi ciekawego? - spytała Coral, patrząc,

jak przyjaciółka pochyła się nad pnem i przygląda kwiatom, które na Wielkiej Wyspie można spotkać na każdym kroku.

- Może coś, czego długo nie widziała - podpowiedział dziadek.

Pomylił się o tyle, że jego wnuczka widywała w Seattle orchidee - nawet tego samego gatunku co te tutaj - ale tylko w kwiaciarni.

Linda wyprostowała się i odwróciła. Kiedy ujrzała wpatrzona w nią, zaniepokojone oczy matki i koleżanek, zrobiło jej się głupio i przybiegła do samochodu.

- Przepraszam, że musieliście na mnie czekać - rzuciła, siadając obok Coral.

- To twój dzień - rzeki dziadek. - Poczekamy na ciebie, ile będzie trzeba, nawet jeśli zechcesz się przywitać ze wszystkimi paprociami i kwiatami.

- Chyba dopiero teraz w pełni zdałam sobie sprawę, jak mi tego wszystkiego brakowało. Ciepłego deszczu, tęczy, paproci, orchidei... - Zamyśliła się, a po chwili dodała: - Ale najbardziej brakowało mi was.

- Nam ciebie też - powiedziała mama. Odwróciła się i wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać córkę. Zaledwie jednak jej palce musnęły policzek dziewczyny, cofnęła dłoń i popatrzyła przed siebie.

Dojeżdżali do miejsca, w którym droga się roz-

chodziła. Żeby dotrzeć do domu, mogli pojechać szosą biegnącą wzdłuż oceanu albo odbić w głąb wyspy. Ta druga trasa była wprawdzie krótsza, ale pokonanie jej, przez to, że była kręta i wyboista, zajmowało znacznie więcej czasu.

- Jedź Drogą Starego Douglasa - zwróciła się do teścia.

Po plantacji trzemy cukrowej, która była tu przed laty, nie pozostało już żadnych śladów - poza nazwiskiem jej dawnego właściciela w nazwie drogi.

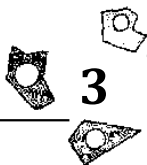
- Po tych wertepach? - spytał, zwalniając przed rozjazdem.

Linda przez ułamek sekundy widziała twarde spojrzenie, które mama rzuciła dziadkowi.

Kiedy bez dalszych komentarzy skręcił w prawo, matka odwróciła się i z pozorną beztroską wyjaśniła córce:

- Lubię tę drogę. Jest taka malownicza.

Dziewczyna uśmiechnęła się i skinęła głową. Wołała, by mama się nie domyśliła, że dobrze wie, dlaczego nie jadą szosą wzdłuż oceanu.



Coś ją obudziło. Wyrwana z głębokiego snu, przez chwilę nie miała pojęcia, co się dzieje. Otworzyła oczy, ale w kompletnych ciemnościach, oprócz świecących cyferek na zegarku, który wskazywał dziesięć po drugiej, niczego nie mogła dostrzec. Dopiero po jakimś czasie uświadomiła sobie, że nie jest w Seattle, tylko w swoim rodzinnym domu, i że pewnie obudził ją hałas. To ulewny deszcz walił o drewniane okiennice.

Znała te odgłosy od dziecka, ale nigdy nie przeszkadzały jej w spaniu. Czyżby aż tak się od nich odzwyczaiła? A może obudził ją chłód? Wstała z łóżka i idąc wzdłuż ściany, namacała kilka włączników. Chciała o kilka stopni podwyższyć temperaturę w pokoju, lecz kiedy wreszcie udało jej się to zrobić, rozmyśliła się i w ogóle wyłączyła klimatyzację.

Wzrok na tyle zdążył jej się przyzwyczać do ciemności, że niczego po drodze nie potracając, doszła do okna, przesunęła je w górę i otworzyła okiennice na oścież. Dopiero kiedy jedno ze skrzydeł z hukiem uderzyło o ścianę domu, zdała sobie sprawę, że może obudzić przyjaciółkę.

Po tym, jak Meg przeniosła się do Seattle i jej łóżko w ich wspólnym pokoju pozostało puste, Coral często zostawała tu na noc. Poprzedniego wieczoru po powitalnym przyjęciu, które przeciągnęło się prawie do północy, licząc na to, że wreszcie będzie miała okazję porozmawiać z przyjaciółką sam na sam, Linda poprosiła ją, by u niej spała. Coral chętnie się zgodziła, ale obie były tak zmęczone, że zasnęły, ledwie zgasiły światło.

Linda przytrzymała ręką okiennicę, żeby zapobiec dalszym hałasom - za późno. Za jej plecami rozległo się skrzywienie łóżka.

- Co robisz? - spytała zdziwiona Coral, unosząc się na poduszce.

- Przepraszam, że cię obudziłam. Chciałam trochę poddychać świeżym powietrzem. - Nagle przestało padać. Twarz Lindy owiewała wilgotna morska bryza.

- Kładź się. Jest kwadrans po drugiej.

Linda posłuchała rady przyjaciółki, wróciła do łóżka i wtuliła głowę w poduszkę. Wiedziała, że szybko nie zaśnie, leżała jednak w milczeniu i bez ruchu, nie chcąc

przeszkadzać Coral.

Ale ona też nie spała.

- Muszę ci się z czegoś zwierzyć - odezwała się głosem, w którym nie było ani śladu niedawnego snu.

Przez okno widać było pełną tarczę księżyca. W pokoju, w chwili gdy Linda otworzyła okiennice, zrobiło się tak jasno, że można było zobaczyć niemal każdy szczegół. Coral miała rozpromienioną twarz.

- Wiesz, ja i... - zaczęła.

Nie dokończyła, ale Linda i tak przeczuwała, co przyjaciółka chciała jej wyznać. Znała ją od dziecka i wiedziała, że jej policzki mogą być tak zarumienione, a oczy błyszczące tylko z jednego powodu - z powodu Bruce'a Monroe, w którym od dawna się kochała.

- Ty i Bruce chodzicie ze sobą! - zawołała. Wyskoczyła ze swojego łóżka i usiadła w nogach łóżka Coral, żeby ją lepiej widzieć. - Od dawna?

- Od pół roku.

- Spotykacie się od pół roku, a ty mówisz mi o tym dopiero dzisiaj?!

- Jakoś nie trafiła się okazja - odparła Coral niepewnie.

- Nie trafiła się okazja! Dzwoniłyśmy do siebie co najmniej raz w tygodniu.

- No tak, ale... Myślałam, że będzie ci przykro, kiedy się o tym dowiesz.

- Zaczynasz się spotykać z chłopakiem swoich marzeń, a mnie miałyby być przykro?! - Jeszcze zanim te słowa przebrzmiały, Linda zrozumiała, dlaczego Coral tak długo zwlekała z podzieleniem się z nią tą nowiną. - Słuchaj, od tamtej pory minął rok. To, że mój chłopak... - Wciąż nie potrafiła o tym mówić. - To, że stało się to, co się stało, nie oznacza, że ty nie możesz być szczęśliwa. Nawet nie wiesz, jak się cieszę.

Z nieba znów zaczęło lać, a że wiatr zmienił kierunek, strugi deszczu wpadały do pokoju. Linda wstała szybko, zamknęła okno, włączyła klimatyzację i wróciła do przyjaciółki. Teraz, wiedząc, że zwierzenia szybko się nie skończą, usiadła wygodniej, opierając się plecami o ścianę.

Coral skończyła opowiadać o tym, jak to się stało, że Bruce wreszcie zwrócił na nią uwagę i umówili się na randkę, spojrzała na przyjaciółkę i zobaczyła w jej oczach smutek.

- Właśnie tego się obawiałam. Że zrobi ci się przykro, kiedy będziesz tego słuchać.

- Wcale nie jest mi przykro - zaprzeczyła Linda, energicznie kręcąc głową.

Coral usłyszała jednak w jej głosie przygnębienie.

- Jest, widzę to. Na pewno teraz myślisz o Zachu... - Przerwała, ponieważ zobaczyła, jak twarz przyjaciółki wykrzywia grymas bólu.

Po raz pierwszy od bardzo dawna ktoś przy Lindzie wymówił to imię.

- Przepraszam, nie powinnam była o nim wspominać - rzuciła Coral.

- Daj spokój. Minął prawie rok. Jakoś sobie już z tym wszystkim poradziłam. - Widząc, że przyjaciółka spogląda na nią z niedowierzaniem, Linda dodała stanowczo: - Naprawdę. I szczerze się cieszę, że ty i Bruce wreszcie jesteście parą. I coś ci jeszcze powiem. Zawsze wiedziałam, że prędzej czy później tak się stanie. Nigdy nie miałam co do tego wątpliwości.

- A ja nie mam wątpliwości, że ty też poznasz chłopaka, w którym zakochasz się na zabój i będziesz z nim szczęśliwa.

Linda uśmiechnęła się smutno.

- A tam, w Seattle, nie spotkałaś nikogo takiego? - spytała Coral.

Linda nie potrzebowała ani sekundy na zastanowienie się, zanim odpowiedziała:

- Nie.

- Z nikim się nie spotykałaś? Żaden chłopak nie próbował wyciągnąć cię na randkę? - dopytywała się Coral.

- Na pewno wszyscy się za tobą uganiali.

Linda wzruszyła ramionami.

- Przyznaj się - dociekała Coral. - Ilu cię podrywało?

- No, dobrze. Raz czy dwa ktoś chciał się ze mną umówić.

- I co?

Linda znów wzruszyła ramionami.

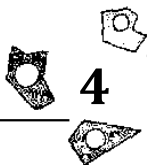
- I nic. Porównywałam go z... - Przerwała i zamyśliła się. - Idziemy spać. Jest czwarta, a ja o ósmej muszę już być gotowa. Obiecałam dziadkowi, że pojedę z nim do miasta.

Wyskoczyła z łóżka przyjaciółki i poszła do siebie.

- Porównywałaś ich z Zachem - skończyła za nią Coral.

- Dobranoc, śpimy - rzuciła Linda, udając, że jej nie usłyszała.

Porównywała ich z innym chłopakiem, ale o tym ani Coral, ani nikt inny nie mógł wiedzieć.



- Byłam pewna, że jeszcze śpisz! - zawołała matka, widząc, że Linda nie opuściła swojego pokoju w nocnej koszuli, tylko weszła do domu tylnymi drzwiami, zasapana, jakby właśnie przebiegła trasę maratonu.

- Odprowadziłam Coral.

Hamiltonowie byli ich najbliższymi sąsiadami. Dom Coral stał na wysokim klifie w sąsiedniej zatoce. Po linii prostej było do niego nie dalej niż kilometr, ale głęboki wąwóz, oddzielający zatoki, utrudniał komunikację. Żeby dotrzeć do Hamiltonów samochodem, trzeba było pokonać dwanaście kilometrów - jadąc w górę, w głąb lądu, a potem wracając do morza krętą drogą.

Ale Linda i Coral przed kilku laty stwierdziły, że nie potrafią bez siebie żyć i że nie mogą być zdane na łaskę rodziców, którzy albo mają czas, żeby je podwozić do

przyjaciółki, albo go nie mają.

Musiały coś z tym zrobić.

I znalazły swoją własną drogę. Niestety, nie mogły z niej korzystać o każdej porze, jedynie w czasie odpływów, ponieważ wiodła przez ocean i w trakcie przypływów w pewnych miejscach było tak głęboko, a prądy tak silne, że tylko szaleńcy mogliby się ważyć tam zapuszczać. Mimo to były wtedy dumne ze swego odkrycia co najmniej tak, jak musiał być dumny Vasco da Gama, gdy odnalazł drogę morską do Indii.

Ile razy się zdarzyło, że Linda i Coral zagadały się i potem nie było już jak wrócić do domu? No ale od czego są rodzice? Nawet jeśli po rozpaczliwym telefonie - „Tato, mamó, odbierzcie mnie!” - wygrażali się, że to już ostatni raz, że nigdy więcej nie oderwą się od swoich zajęć i nie przyjadą, to przecież zawsze się zjawiali.

- Pewnie jesteś głodna - powiedziała teraz matka, mierząc córkę wzrokiem. - Zmizerniałaś w tym Seattle - dodała smutno. - Usmażyć ci jajka na bekonie?

W domu Meg, która po opuszczeniu Hawajów stała się fanatyczką zdrowego odżywiania, na jedną osobę przypadało tygodniowo półtora jajka, a coś takiego jak bekon nie istniało w ogóle.

- Pewnie - odparła Linda. Po rannej wędrówce po przybrzeżnych skalach i brodzeniu w wodzie, miejscami

sięgającej powyżej pasa, miała wilczy apetyt.

- Może idź się przebierz, a ja tymczasem przygotuję ci śniadanie - zaproponowała mama.

- Po co?

Rzucony na rozgrzaną patelnię bekon zaskwierczał i w kuchni rozniósł się wspaniałym zapachem, za którym Linda przez ostatnie miesiące tęskniła niemal równie mocno, jak za widokiem tęczy, zapachem dziko rosnących orchidei, powiewem morskiej bryzy, odgłosami tropikalnej ulewy, smakiem wody morskiej i tysiącem innych rzeczy, które rejestrowała wszystkimi zmysłami.

- Masz przecież mokre szorty - powiedziała mama.

- Są prawie suche - rzuciła Linda, lekceważąco machając ręką.

Było krótko po dziewiątej, ale słońce świeciło już na tyle mocno, że wystarczyło przejść kilkaset metrów piaszczystą plażą w zatoce, w której stał ich dom, a jej płócienne spodnie były mokre tylko przy szwach, kieszeniach i pasku.

- Nie przysmażaj za bardzo! - zawołała. Nie przepadała za mocno ściętymi żółtkami, ale teraz nie chodziło jej o konsystencję jajek, raczej o to, żeby dostać je jak najszybciej.

Mama roześmiała się.

- Myślisz, że zapomniałam, jakie lubisz najbardziej?

Jeszcze przez chwilę krzątała się przy kuchence, po czym postawiła na stole przed córką talerz z jajkami i szklankę świeżo wyciśniętego soku ananasowego. Usiadła naprzeciwko niej i z radością patrzyła, jak dziewczyna z apetytem pałaszuje śniadanie.

- Sądziłam, że będziesz chciała pójść dzisiaj do szkoły - odezwała się głosem, w którym krył się cień niepokoju.

- Mamo, dopiero wczoraj przyjechałam. Pozwól mi nacieszyć się domem.

- Przecież ja cię z niego nie wyrzucam, tylko...

- Tylko co?

- Na pewno stęskniłaś się za przyjaciółmi. Nie jesteś ciekawa, czy zmienili się przez ten rok? - Radosny uśmiech nie rozjaśniał już ciemnych oczu matki. Wyglądała tak, jakby żałowała, że poruszyła ten temat.

Wczoraj Linda dostrzegła podobny wyraz - nie tylko na jej twarzy, ale i na twarzy ojca, braci i przyjaciółek. Kiedy tylko rozmowa w jakikolwiek sposób - nawet najbardziej odległy - nawiązywała do zdarzeń sprzed roku, rzucano sobie znaczące spojrzenia, zawieszano głosy, a zaniepokojony wzrok wszystkich obecnych na powitalnym przyjęciu Lindy zatrzymywał się na niej na kilka sekund.

Za każdym razem miała ochotę zawołać: „Dajcie spokój! Przestańcie się ze mną cackać! Jestem już wystarczająco silna, żeby znów zacząć żyć jak Co rai,

Marsha i inne siedemnastoletnie dziewczyny!”.

Nie zrobiła tego jednak, ponieważ wcale nie była pewna, że to, co powie, będzie prawdą.

Kiedy - mimo perswazji siostry - zdecydowała się na powrót do domu, była przekonana, że zostawiła przeszłość za sobą. Ale już w czasie lotu zrozumiała, że przeszłości nie można wymazać, że ona, Linda, jest sumą tego, czego może dotknąć, przykładając palec do piersi, i tego, co ją spotkało w jej siedemnastoletnim życiu.

Kilka lat temu, stojąc przed lustrem, stwierdziła, że ma zdecydowanie za wąskie ramiona, trochę za szerokie biodra, kości policzkowe zbyt wydatne, usta ciut za szerokie, a oczy za głęboko osadzone. Odkrycie tych wszystkich mankamentów było, co tu dużo mówić, przykre, ale szybko sobie z tym poradziła. I co z tego? - powiedziała do siebie. To jestem ja, więc muszę z tym żyć.

I podobnie teraz powtarzała sobie, że musi żyć z tym, co stało się przed rokiem.

Tylko że to nie było takie proste.

Mama, która wciąż siedziała naprzeciwko niej, wycierała dłonie barwnym kuchennym fartuchem, tak jakby chciała z nich zedrzeć cały naskórek. Zawsze to robiła, kiedy była zdenerwowana.

Nagle jej twarz rozjaśniła się.

- A właśnie! - zawołała z nieco sztuczną egzaltacją.

Najwyraźniej ucieszyła się, że może porozmawiać z córką o czymś, co wydało jej się zupełnie neutralne. - Spotkałam panią Cook. Urodziła śliczną dziewczynkę! Wreszcie, po siedmiu synach, ma upragnioną córeczkę. I jaką słodką! Uwierz mi, nie widziałam równie ślicznego maleństwa... - Przerwała i natychmiast sprostowała: - Oczywiście, poza Meg.

No tak, nie mogło być inaczej. Meg, starsza siostra Lindy, była najpiękniejszym niemowlakiem, jaki kiedykolwiek urodził się na Wielkiej Wyspie, i mówiło się o tym przy każdej okazji.

Matka Natura jest jednak rozważna i uczciwa, zatem wszystkich *kumaka maoli* - rdzennych mieszkańców Hawajów - obdziela łaskami sprawiedliwie. Rodzice i dziadkowie Lindy nie mogli więc liczyć na to, że ich druga córka i wnuczka będzie równie urodziwym noworodkiem, wykazałoby się bowiem pychą i brakiem pokory. Ale też żadne z nich nie spodziewało się, że Matka Natura wyrówna rachunki, obdarzając ich najbrzydszym niemowlęciem, jakie kiedykolwiek urodziło się na Wielkiej Wyspie. I o tym również mówiło się przy każdej okazji.

Linda, kiedy była młodsza, nie znosiła słuchać o tym, jak to jej skóra zaraz po uradzeniu miała kolor kwiatów bugenwilli, a na czubku głowy rośla jej kępka włosów do złudzenia przypominająca liście ananasa, ale od jakiegoś

czasu bawiły ją te opowieści. Może dlatego, że akurat cera i włosy stanowiły największe atuty jej urody.

Teraz jednak nie roześmiała się. Twarz jej posmutniała, a oczy zaszyły mgłą.

Matka, która od chwili powrotu córki była niezwykle czujna i rejestrowała nawet najmniejsze zmiany jej nastroju, nie mogła tego nie zauważyć.

- Co ci jest, skarbie? Wciąż jesteś zazdrosna o to, że Meg była najładniejszym noworodkiem na Wielkiej Wyspie? Myślałam, że już ci to dawno przeszło. - Popatrzyła na córkę z podziwem. - Przecież teraz jesteś równie piękna, jak ona. Spójrz tylko w lustro.

- Mamo, przecież wiesz, że nie jestem zazdrosna o Meg. Nigdy nie byłam.

Linda chciała się uśmiechnąć, żeby ją uspokoić, ale nieposłuszne usta tylko się skrzywiły. Matka wyraźnie się zatroskała.

- Jacy rodzice bywają czasami niemądrzy... - odezwała się po chwili. - Jak mogliśmy opowiadać przy tobie takie rzeczy? - dodała, kręcąc głową.

- Jakie znowu rzeczy?

- No, o tym, że Meg była taka śliczna, a ty taka...

- Mamo, przestań - przerwała jej Linda. - Mnie to naprawdę nie boli. Może kiedyś...

- No właśnie! - Matka wciąż kręciła głową. - Jak

możliśmy być tak bezmyślni?

- Przesadzasz.

- Już nigdy nie będę mówić o żadnym ładnym noworodku - obiecała mama.

Miała przy tym tak poważny głos, że Linda się roześmiała.

- Możesz sobie mówić, ile chcesz.

Noworodki - ładne czy brzydkie - nie poruszały jej na tyle, by nie móc o nich słuchać. Ale akurat ten, o którym mama wspomniała przed chwilą, poruszył ją, i to bardzo.

Chcąc to ukryć, skupiła się na śniadaniu. Zjadła do końca jajka, wypita sok i nalała sobie jeszcze pełną szklankę.

- Jest rzeczywiście taka śliczna? - spytała po dłuższej chwili.

- Kto? - Matka już się zajęła sprząaniem po śniadaniu i zdążyła zapomnieć, o czym rozmawiały.

- Christina.

- Jaka Christina?

- Przecież opowiadałaś mi o córeczce pani Cook.

- Ach, tak! Tylko nie wiedziałam, że ta mała tak ma na imię. To znaczy wiedziałam, bo pani Cook mi mówiła, ale wyleciało mi z głowy.

Lindzie nie wyleciało. Nie wyleciało jej z głowy nic, co kiedykolwiek słyszała od Ethana Cooka. Gdy przed dwoma

laty urodził mu się brat, tłumaczył jej, dlaczego ma na imię Chris. Kiedy jego mama była w ciąży, cała rodzina czekała na dziewczynkę, Christinę, ale urodził się siódmy chłopiec, więc nazwano go Chrisem.

- Więc wiedziałaś, że Cookowie mają następne dziecko - zauważyła mama.

Zamyślona Linda kiwnęła głową.

- Skąd?

Albo była przewrażliwiona, albo w pytaniu mamy coś się kryło.

- Coral wczoraj o tym wspomniała - skłamała.

- Aha... Myślałam, że może kiedy byłaś w Seattle, miałaś kontakt z Ethanem Cookiem.

- Ależ skąd!

Matka, która właśnie wkładała naczynia do zmywarki, odwróciła się i popatrzyła na Lindę, zaskoczona jej gwałtowną reakcją.

- Nie byłoby w tym przecież nic dziwnego - powiedziała. - To w końcu twój kolega z klasy. Zawsze mi się wydawało, że go lubisz - ciągnęła, a że znów zajęła się sprzątaniami, nie zauważyła, jak dziewczyna zbladła.

Od powrotu Lindy nikt nie odważył się wymówić przy niej imienia Zacha. Imię Ethana padło wczoraj kilka razy. Jej kuzyn Larry chwalił się, jak to z kolegami, wśród których był Ethan, popłynął w zeszłym miesiącu na sąsiednią wyspę

Maui. Marsha opowiedziała jakąś śmieszną szkolną historię, w której Ethan brał udział. Dziadek wspomniał o tym, że pomógł mu kiedyś naprawiać sieci, i dodał, że to miły, dobry chłopak. Mick, młodszy brat Lindy, słysząc to, skrzywił się i zaczął Ethana krytykować:

- E tam! - rzucił. - Kiedyś był rzeczywiście fajny, ale ostatnio mu odbiło. Chciałem od niego pożyczyć deskę surfingową i mi odmówił.

Mick nie zauważył spojrzenia mamy ani nie usłyszał, jak ojciec głośno chrząknął, i ciągnął:

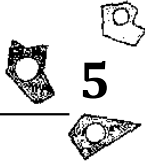
- Pomyślałem nawet, że może ją od niego odkupię. Szkoda, żeby taka fantastyczna deska się marnowała, bo przecież jej nie używa. Dawałem mu za nią dwie stowy, potem trzy. Kupa forsy, a on się nie zgodził. Ma nierówno od sufitem.

W tym momencie mama niemal mordowała go wzrokiem, a ojciec chrząkał jeszcze głośniej. Linda domyśliła się, o co im chodzi. Nie o to, że jej brat mówił o Ethanie, lecz o to, że wspomniał o surfingu.

Wczoraj, kiedy padało jego imię, wstrzymywała oddech. Z jednej strony obawiała się, że wszyscy zauważą, jak reaguje na każdą wzmiankę o nim, a z drugiej chciała usłyszeć o nim coś jeszcze. Cokolwiek.

Teraz też czekała z nadzieją, że mama coś o nim powie, ale ona nie wróciła już do Ethana, a do kuchni

wszedł dziadek i spytał, czy Linda jest już gotowa, żeby jechać z nim do Hilo.



Zbliżali się do miejsca, gdzie droga się rozchodziła.

- Dziadku, nie skręcaj w Drogę Starego Douglasa - poprosiła Linda, widząc, że dziadek włącza kierunkowskaz i zwalnia, żeby skręcić w lewo.

Był zwykle stanowczy wobec wnuków, ale wnuczkom - zarówno jej, jak i Meg - rzadko kiedy odmawiał. Teraz jednak musiał to zrobić i Linda rozumiała dlaczego. Minę miał tak zakłopotaną, że postanowiła mu pomóc.

- Przepraszam, że cię o to poprosiłam. Wiem, że obiecałeś mamie, że nie pojedziemy drogą przy plaży.

Nie umiał kłamać, nie mógł więc zaprzeczyć.

- Skąd to wiesz?

Kiedy wsiedli już do samochodu, matka wyszła na ganek i poprosiła, żeby na chwilę wrócił do domu. Nie było go dwie, może trzy minuty i Linda domyśliła się, po co

mama go zawołała.

- Po prostu wiem. I przepraszam cię, że mimo to cię prosiłam - powiedziała. - Jedź Drogą Starego Douglasa - dodała.

Kilka sekund później otworzyła usta ze zdumienia, widząc, że dziadek, zamiast skręcić w lewo, jedzie prosto. Zdawała sobie sprawę, ile go kosztowało podjęcie tej decyzji.

- Nie możesz całe życie od tego uciekać - rzekł, kiedy spojrzała na niego pytająco.

Kiwnęła głową.

- Co powiesz mamie? - zapytała po chwili.

- Może nie będzie pytać.

- A jeśli to zrobi?

Dziadek tylko na nią popatrzył.

- Głupie pytanie - przyznała Linda. - Wiadomo, że powiesz prawdę.

Dalej jechali w milczeniu. Zauważyła, że dziadek co jakiś czas zerka na nią kątem oka. Im bardziej droga zbliżała się do oceanu, tym robił to częściej. Kiedy dojeżdżali do zakrętu, za którym miała się ukazać plaża, zdjął nogę z gazu.

- Dziadku, wszystko jest w porządku - powiedziała, kładąc dłoń na jego ramieniu. Sama się dziwiła, że jej głos brzmi tak spokojnie.

Staruszek teraz też się nie odezwał. Uwierzył wnuczce; jego stopa znów znalazła się na pedale gazu. Ocean, jak na to miejsce, był niezwykle spokojny. Najwyższe fale nie przekraczały trzech metrów.

Gdyby były takie tamtego dnia, nic by się nie stało, przemknęło jej przez głowę, ale natychmiast pomyślała, że to idiotyczne rozważania. Gdyby wtedy fale były tak niskie, Zachowi pewnie nawet nie chciałoby się stanąć na desce.

- Dziadku, mógłbyś się na chwilę zatrzymać? - spytała niepewnie.

Spojrzał na nią wyraźnie wystraszony i pokręcił głową, ale patrzyła na niego z takim spokojem, że po chwili zwolnił i stanął na poboczu.

Zerknął w stronę plaży. Z miejsca, w którym się zatrzymali, żeby do niej dojść, trzeba było jakieś sto metrów przedzierać się przez gęste zarośla, a potem zejść w dół po skałach.

- Chcesz tam iść? - zapytał.

- Śpieszy ci się do Hilo?

Nie odpowiedział na jej pytanie, tylko powtórzył swoje.

- Chcesz tam iść?

- Tak.

Nieznacznie skinął głową.

- Dzięki - szepnęła, wolno wysiadając z samochodu.

- Lindo! - zawołał, kiedy już weszła w zarośla.

- Tak?

- Zostań tam tak długo, jak będziesz chciała. Będę na ciebie czekał.

- Dzięki.

Nie śpieszyła się, ani kiedy przedzierała się przez zarośla, ani kiedy schodziła w dół po czarnych wulkanicznych skalach, ani wtedy, gdy zdjęła buty i szła boso plażą, tak że stopy zostawiały ślady na mokrym piasku, a najdłuższe fale obmywały jej łydki aż do kolan.

Zatrzymała się przy grupie początkujących surferów, mniej więcej trzynastoletnich chłopców. Byli najwyraźniej turystami, ponieważ nie rozpoznała wśród nich żadnej znajomej twarzy. Poza tym chłopcy z Wielkiej Wyspy uczą się od starszych braci i kolegów, a nie od zawodowych instruktorów, i to znacznie wcześniej. W tym wieku śmigają już na falach, jakby się urodzili na desce.

Uśmiechnęła się smutno, widząc, jak ci chłopcy wpatrują się w instruktora niczym w guru, jak spijają każde słowo wychodzące z jego ust i jak nie mogą się doczekać, kiedy wreszcie sprawdzą się na fali.

Czy któryś z nich będzie chciał być następnym Bobem Simonsem? Oby nie...

Odeszła kawałek, znów się zatrzymała i zaczęła obserwować parę surferów. Chłopak właśnie złapał falę.

Przenosząc ciężar na palce wysuniętej do przodu nogi, wykonał skręt i pojechał twarzą do fali. Dziewczynie chwilę później również udało się złapać falę i także zrobiła skręt, tyle że przeniosła ciężar przedniej nogi na pięty i pojechała plecami do fali.

Linda potrafiła to robić - łapać falę i wykonywać skręty. Kiedy przed trzema laty się tego nauczyła, doszła do wniosku, że to jej wystarczy, że nie musi się uczyć kolejnych akrobacji, żeby jazda na desce sprawiała jej przyjemność. Dla niej legendarny Bob Simona, który surfing traktował nie jak sport, lecz sposób na życie i zginął w falach, nie był idolem. Nigdy nie brała z niego przykładu, a już na pewno nie chciałaby skończyć tak jak on. Ale nie mogła zaprzeczyć, że surfing sprawiał jej dużo radości. Sprawiał... Kiedyś... Zanim TO się stało...

Im bliżej była tego miejsca, w którym TO się stało, tym bardziej zwalniała kroku. Tu fale były większe. Te najwyższe sięgały pięciu metrów. Ale Zach nawet na pięciometrowe lekceważąco machnąłby ręką.

Zach chciał być taki jak Bob Simons...

Zatrzymała się dwadzieścia parę metrów od skały, na którą fale wyrzuciły zwłoki Zacha, i nie była w stanie zrobić ani kroku dalej. Wpatrywała się w nią i - o dziwo - widziała tylko zastygłą czarną lawę.

Nie miała przed oczami obrazu, który tyle razy

pojawiał jej się we śnie i na jawie.

Patrzyła na skałę. O niczym nie myślała, nie przypominała sobie tamtych chwil, nie płakała, nie rozpaczała, po prostu tam była. A potem nagle odwróciła się i wolnym krokiem ruszyła z powrotem. Na chwilę się zatrzymała i z podziwem spojrzała na parę surferów, którzy świetnie radzili sobie z jazdą na krawędzi fali. Potem przystanęła na dłużej przy nowicjuszach. Skończyła się teoria; z deskami pod pachą weszli kawałek w morze, a potem się na nich położyli i czekali na swoją pierwszą w życiu falę. Przez kilka minut żaden nie potrafił złapać fali i stanąć na desce. W końcu jednemu z nich się udało. Nie tylko stanął, ale i utrzymał się niej kilka sekund. W ciągu tej krótkiej chwili, zanim zanurzył się w wodzie, zauważyła w jego oczach coś, co tak dobrze знаła.

Podobny wyraz malował się w oczach wielu surferów - wyraz szczęścia, wynikającego ze świadomości sukcesu i z poczucia, że jest się zespolonym z tym cudownym żywiołem, jakim jest ocean.

Linda zbyt dobrze jednak pamiętała inne oczy. Oczy, w których nie widziała radości ani szczęścia, lecz błysk szaleństwa. Tamten surfer nie potrafił się już cieszyć ostrym powiewem morskiej bryzy ani faktem, że doskonale panuje nad swoim ciałem. Potrzebował czegoś więcej - skrajnego ryzyka.

Nowicjusz był niezły. Radził sobie znacznie lepiej niż jego koledzy. Po raz drugi stanął na desce i tym razem udało mu się na niej utrzymać znacznie dłużej. Znow zobaczyła na jego twarzy radość i zapragnęła, żeby tej jego radości nigdy nie skaziła potrzeba obcowania z ryzykiem.

Kiedy chłopiec po raz trzeci złapał falę i stanął na desce, Linda pomachała mu i uniosła kciuk. Dumny z siebie, również chciał jej pomachać, ale w tym momencie stracił równowagę i wpadł do wody. Uśmiechnęła się i odeszła.

Szybko wspięła się po skałach i przeszła przez zarośla.

- Przepraszam, że tak długo mnie nie było - powiedziała, wsiadając do samochodu.

Dziadek przyjrzał jej się uważnie, ale najwyraźniej nic w twarzy wnuczki go nie zaniepokoiło. Uśmiechnął się i skinął głową.

- Gdyby było trzeba, czekałbym na ciebie nawet do wieczora - rzekł, ruszając.

- Dziękuję - szepnęła.

- Za co?

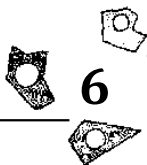
- Za to, że we mnie wierzysz. Chyba tylko ty jeden wierzysz w to, że jestem silna. Mama i tata traktują mnie jak porcelanową lalkę, która się może potłuc.

- Nie dziw im się, kochają cię. Rok temu byli przerażeni, kiedy po tym wszystkim nie mogłaś odzyskać równowagi.

- No tak - zgodziła się z dziadkiem Linda.

Dziś mgliście już pamiętała ten okres tuż po wypadku. Przeżyła potworny szok i żeby się z niego otrząsnąć, nie wystarczała jej pomoc bliskich. Rodzice zwrócili się najpierw do lekarza, potem do psychologa. W końcu Meg wpadła na pomysł, żeby Linda przez jakiś czas pomieszkała u niej w Seattle. Matka i ojciec - zwłaszcza ona - na początku byli temu przeciwni, ale Linda bardzo chciała opuścić Wielką Wyspę i po konsultacji z psychologiem rodzice się zgodzili.

Wylatując przed rokiem z Hawajów, myślała, że nigdy tu nie wróci, ale czas zrobił swoje. Z każdym mijającym miesiącem coraz bardziej tęskniła za domem, rodziną i przyjaciółmi, aż wreszcie uznała, że jest gotowa do powrotu. Meg radziła jej, żeby nie podejmowała decyzji zbyt szybko. Namawiała ją, żeby najpierw poleciała na Hawaje tylko na bożonarodzeniowe ferie i przekonała się, czy może tu zostać. Linda jednak wiedziała, że wraca na stałe.



Wchodząc do sklepu żelaznego, w którym dziadek od lat kupował narzędzia i materiały potrzebne do naprawy łodzi, Linda od razu zorientowała się, że prędko stamtąd nie wyjdą. Za ladą stał bowiem nie właściciel sklepu, lecz jego ojciec, pan Kahilahu senior, stary przyjaciel dziadka. Linda nie pamiętała, by ci dwaj kiedykolwiek się rozstali, nie zapytawszy się nawzajem o to, co słyhać nie tylko u nich, ale i u wszystkich członków rodziny, nawet u najdalszych krewnych. A że życie na Wielkiej Wyspie nie obfituje w aż tak zajmujące wydarzenia, zdawała sobie sprawę, że przysłuchując się rozmowie starsuszków, porządnie się wynudzi. Przywitała się więc z panem Kahilahu i spytała, czy może zostawić ich samych i pochodzić trochę po mieście. Dziadek, który zdążył już się pochwalić przyjacielowi, że wnuczka wróciła na Hawaje, i

to na zawsze, nie miał nic przeciwko temu. Umówili się koło Ogrodów Lili'uokalani.

Miała trochę czasu i wyszedłszy ze sklepu, zastanawiała się, czy iść tam od razu, czy najpierw wybrać się gdzie indziej. Zdecydowała się na ogrody. Po pierwsze, było samo południe i słońce grzała niemiłosiernie - fatalna pora na wędrowki po ulicach miasta. Po drugie, uwielbiała Ogrody Lili'uokalani, a tak dawno ich nie widziała.

Przeszła kawałek i już była zlane potem. Przyjemniej zrobiło się dopiero, gdy dotarła do Banyan Drive i skryła się w cieniu olbrzymich figowców o dużych, ciemnozielonych, połyskliwych liściach. Stamtąd miała już tylko kawałek do ogrodów. Kiedy się w nich znalazła i ruszyła wąską dróżką, po obu stronach której ustawiono japońskie lampiony, poczuła cudowny spokój.

Spokój przysł, gdy przypomniała sobie, kiedy była tu po raz ostatni. A właściwie nie kiedy, tylko z kim. Dochodząc do pierwszego z wielu znajdujących się tu mostków, próbowała odsunąć od siebie przykre wspomnienia, ale okazały się tak natrętne, że tamto zdarzenie wydało jej się zupełnie świeże, a słowa, które zostały wtedy powiedziane, brzmiały w jej uszach, jak gdyby padły przed chwilą.

Była sobota, dwa tygodnie przed feriami bożonarodzeniowymi. Przyjechali z Zachem do Hilo po nową

deskę surfingową dla niego. Oszczędzał na nią pół roku. Nigdy nie widziała go tak szczęśliwego jak wtedy. Pamiętała, jak wychodząc z sklepu, z dumą powiedział, że takiej „wypasionej” deski nie ma nikt na Wielkiej Wyspie.

Pamiętała również, co wtedy poczuła - swego rodzaju zazdrość o to, że ona nigdy nie będzie dla niego równie ważna jak surfing, że fakt, że jest jego dziewczyną, nawet w małej części nie cieszy go tak jak nowa deska. Miała nawet ochotę zażartować i zapytać, na co by się zdecydował, gdyby musiał wybierać między nią a tą „wypasioną” deską. Głupi żart, zwłaszcza że dobrze wiedziała, co by wybrał.

- Pojedźmy do Ogrodów Lili'uokalani - poprosiła go wtedy. Do dzisiaj nie potrafiła sobie odpowiedzieć na pytanie, czy chciała sprawdzić, ile jest w stanie dla niej zrobić, czy po prostu zapragnęła się tam wybrać.

- Do Lili'uokalani? - Patrzył na nią jak na kogoś niedorozwiniętego umysłowo. - Po co?

- Bo mam ochotę tam pojechać.

- Akurat dzisiaj? Kiedy kupiłem tę fantastyczną deskę i chcę ją jak najszybciej wypróbować?

- Możesz ją wypróbować jutro.

- Zwariowałaś?!. Dzisiaj ma być duża fala.

W Lindzie obudził się nagle upór, o który nawet się nie podejrzewała.

- Jutro może być większa - powiedziała spokojnie. - Za

każdym razem, kiedy jesteśmy w Hilo, proszę cię o to, żebyś poszedł ze mną do Lili'uokalani, i zawsze mi obiecujesz, że następnym razem...

- No więc skoro tak długo wytrzymałaś, to wytrzymasz jeszcze trochę - skwitował.

Nie dość, że wpadł jej w słowo, to jeszcze zrobił to w sposób, który wydał jej się wyjątkowo opryskliwy.

- Nie wiem - odparła rozzłoszczonym tonem.

- Nie wiesz? Czego nie wiesz?

- Nie wiem, czy wytrzymam.

Zdawała sobie sprawę, że zabrzmiało to jak szantaż, ale było jej wszystko jedno. Ostatnio często się kłócili i musiała uczciwie przyznać, że to nie on, lecz ona wywoływała sprzeczki, ale też miała powody. Coraz bardziej nie mogła się pogodzić z tym, że surfing przesłaniał mu wszystko - nie tylko ją, ale również przyjaciół i szkołę.

Nie wiadomo, czy się wystraszył, czy zgodził się dla świętego spokoju, ale pojechali do Lili'uokalani.

Teraz żałowała, że do tego doszło. Zrozumiała bowiem, że tamtego dnia te cudowne japońskie ogrody przestały być dla niej oazą spokoju.

Zaledwie doszli do pierwszego mostku - tego, na którym teraz stała - Zach już zaczął się niecierpliwić.

- Długo jeszcze będziemy się tu szwendać?

- Przecież dopiero weszliśmy.

- Nie rozumiem tylko po co.

- A nawet jeśli wyłącznie po to, żeby mi sprawić przyjemność? - spytała nieco prowokacyjnie.

- Myślisz tylko o sobie.

Tego już nie wytrzymała.

- Ja myślę o sobie? Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? - Głos coraz bardziej jej się podnosił. - Myślę o sobie, godzinami siedząc na plaży, kiedy ty czekasz na swoją falę?

- Nikt cię przecież do tego nie zmusza.

- Masz rację, nikt mnie nie zmusza, ale gdybym tego nie robiła, widywalibyśmy się tylko w szkole, a tak przynajmniej mogę pobyć z tobą w drodze na plażę i z powrotem.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć, więc tylko wzruszył ramionami, ale była tak podenerwowana, że nie mogła przestać mówić.

- I myślę tylko o sobie również wtedy, kiedy zamiast się przygotowywać do testu z matematyki, pomagam ci pisać referat na historię?

Tak było tydzień wcześniej. Właśnie zabierała się do nauki, kiedy zjawił się Zach i poprosił, żeby mu pomogła przygotować referat, o którym wiedział już od miesiąca. Poświęciła na to cały wieczór, a następnego dnia zaważyła

test z matematyki.

- Więcej cię o to nie poproszę, możesz być pewna.

- Nawet gdybyś prosił, i tak bym tego nie zrobiła - oświadczyła z przekonaniem.

Wzruszył lekceważąco ramionami, co jeszcze bardziej ją rozzłościło. Postanowiła jednak tego nie okazywać. Uznała, że wreszcie trafiła się okazja, żeby powiedzieć mu to, co od jakiegoś czasu nie dawało jej spokoju. Zdawała sobie sprawę, że jeśli poniosą ją nerwy, Zach nie potraktuje jej słów poważnie.

- Posłuchaj - zaczęła najspokojniej, jak potrafiła. - Nie sądzisz, że powinieneś się nad sobą zastanowić?

- Niby nad czym?

- Nad tym, że poza surfingiem nic już się dla ciebie nie liczy. I nie myślę w tym momencie o sobie. Zach, czy ty nie widzisz, że tracisz przyjaciół?

Znów wzruszył ramionami.

- Chodzi ci o tego palanta Bruce'a?

- Bruce nie jest palantem! Jeszcze niedawno był twoim przyjacielem. Tylko że przyjaciół nie zostawia się na lodzie z powodu fali, nawet dziesięciometrowej.

Zachowi już wcześniej zdarzało się zawodzić przyjaciół; umawiał się z nimi i się nie zjawiał, coś im obiecywał i się z tego nie wywiązywał, jeśli prosili o pomoc, nie miał czasu. Zawsze z powodu fali. Kiedy miała się zjawić

ta wielka, ta, o jakiej marzył, zapominał o wszystkim. Któreś soboty popsuł mu się samochód, poprosił więc przyjaciela o pożyczanie swojego. Bruce się zgodził, ale że w soboty pracował w supermarkecie w Hilo, umówili się, że Zach go tam zawiezie, a po pracy odbierze. Skończyło się tak, że Bruce czekał na niego do rana, bo akurat tej nocy były wielkie fale.

- Gdyby naprawdę był moim przyjacielem, zrozumiałby mnie i nie robiłby takiej afery - prychnął Zach.

Bruce, który sam chętnie surfował, rozumiał pasję Zacha i dotychczas przeżywał rozczarowania, na jakie narażał go przyjaciel, ale po tamtej nocy uznał, że miarka się przebrała, i Linda wcale mu się nie dziwiła.

Stojąc na japońskim mostku, patrzyła na Zacha, nie mogąc uwierzyć w to, że utrata przyjaciela jest mu aż tak obojętna.

- A szkoła? - spytała po chwili.

- Co szkoła?

- Zach, jeszcze w zeszłym roku byłeś jednym z najlepszych uczniów. Teraz jesteś najgorszy. Nie ma przedmiotu, z którym nie miałbyś problemów.

- Przestań! - rzucił poirytowany. - Gadasz całkiem jak moja matka. A w ogóle to jeśli po to mnie tu przyprowadziłaś, żeby mi prawić morały, to daj sobie z tym spokój.

Czasami bywał opryskliwy, ale nie do tego stopnia. Lindę tak to zaskoczyło, że przez dłuższy czas nie wiedziała, co powiedzieć.

Ale Zach wiedział. Śpieszyło mu się na plażę i był gotów na wszystko, byleby znaleźć się tam jak najszybciej.

- Jeśli masz ochotę łązić po tym idiotycznym parku - skrzywił się i zatoczył ręką łuk - to sobie tu zostań. Ja mam co innego do roboty.

Potem zastanawiała się, czy rzeczywiście zostawiłby ją tam samą, ale wtedy wołała nie ryzykować i tego nie sprawdzać. Gdyby to zrobił, nie miałyby jak dostać się do domu.

W milczeniu wrócili do samochodu i po drodze żadne nie odezwało się ani słowem.

Potem rozmawiała z nim tylko raz - tego dnia, kiedy TO się stało.



Odkąd sięgała pamięcią, mogła przebywać w Ogrodach Lili'uokalani całymi godzinami i zawsze jej było mało. Kiedy jako dziecko przychodziła tu z matką, za każdym razem, gdy mama zbierała się do wyjścia, Linda prosiła, żeby zostać jeszcze trochę.

Teraz, kiedy zeszła z mostku, na którym przed rokiem pokłóciła się z Zachem, i zerknąwszy na zegarek, zorientowała się, że dziadek przyjedzie po nią dopiero za półtorej godziny, perspektywa spędzenia tego czasu w Lili'uokalani wcale nie wydała jej się taka nęcąca. Przeszła wszystkimi znanymi jej drózkami, przystając na malowniczych mostkach, i wciąż miała jeszcze całą godzinę. Przemknęło jej przez myśl, żeby wrócić na Banyan Drive, ale kiedy przypomniała sobie tłumy wylewające się ze znajdujących się tam hoteli, odrzuciła ten pomysł. Wielka

Wyspa nie jest wprawdzie tak oblegana przez turystów jak Oahu, a Hilo to nie Honolulu i Waikiki, ale trochę ich tu jednak było, zwłaszcza teraz, w czasie zimowych ferii.

Kiedy poczuła pragnienie, przypomniała sobie o zatopionym w zieleni ogrodów pawiloniku, w którym można zamówić herbatę, podawaną z zachowaniem całej japońskiej ceremonii picia tego napoju.

To był dobry pomysł. Matka często powtarzała, że nic nie gasi pragnienia tak, jak gorąca herbata. Pół godziny później, wychodząc z herbaciarni, Linda przypomniała sobie te słowa i przyznała mamie rację.

Odeszła już kawałek od pawiloniku, kiedy ktoś ją zawołał. Odwróciła się i zobaczyła panią Cook, która szła w jej stronę, pchając przed sobą dziecięcy wózek. Obok niej biegł dwuletni chłopczyk. Kiedy Linda widziała go po raz ostatni, jeszcze nie chodził, ale na pyzatej buzi niewiele się zmienił. To był Chris, najmłodszy brat Ethana.

Lindzie mocniej zabiło serce. Gdy witała się z jego mamą, czuła, jak drży jej głos.

- Nie byłam pewna, czy to ty - powiedziała pani Cook. Cofnęła się o krok i zmierzyła ją wzrokiem. - Tak wydorostałaś - Zrobiła się z ciebie prawdziwa kobieta. Kto by pomyślał, że...

- Że z takiego szkaradnego noworodka - chciała za nią skończyć Linda, ale pani Cook jej nie pozwoliła.

- Nie, wcale nie to miałam na myśli! Chodziło mi o to, że bardzo się zmieniłaś w ciągu tego roku. - Uśmiechnęła się przyjaźnie i dodała: - I to na korzyść.

- Dziękuję. Bardzo pani miła. - Linda zobaczyła, że Chris, wpakowawszy sobie do ust prawie całą piastkę, przygląda jej się z zainteresowaniem. - Cześć, Chris - powiedziała.

Kucnęła przy nim i pogładziła go po ciemnej jak bezksiężycowa noc czuprynie. Podobne włosy miał Ethan - identycznej granatowoczarnej barwy i równie jedwabiste. Dotknęła ich tylko raz w życiu, ale zapamiętała ich miękkość.

Cofnęła dłoń i wyprostowała się tak gwałtownie, że Chris się wystraszył i zaczął płakać. Uspokoił się dopiero, gdy matka wzięła go na ręce i przytuliła.

Linda zajrzała tymczasem do wózka. Matka Natura jest sprawiedliwa, pomyślała, widząc śpiącą Christinę. Wynagrodziła Cooków za lata czekania na dziewczynkę naprawdę pięknym maleństwem.

- Jaka ona jest śliczna - odezwała się szeptem, żeby nie budzić Christiny.

Pani Cook nic nie odpowiedziała, ale widać było, że rozpiera ją duma.

- W którą stronę idziesz? - spytała po chwili.

Linda wyciągnęła rękę w kierunku bramy, przy której

umówiła się z dziadkiem. - To się świetnie składa - ucieszyła się pani Cook. - Możemy pójść razem, bo właśnie tam zostawiłam samochód.

Dziewczyna zawahała się. To spotkanie było dla niej takim wstrząsem, że nogi wciąż miała jak z waty. Jak zareaguje na widok Ethana, skoro już obecność jego matki wywoływała w niej taką burzę uczuć? Przemknęło jej przez głowę, że powinna się pożegnać jak najszybciej i pójść w innym kierunku, ale jednocześnie chciała z nią zostać jak najdłużej.

Pani Cook postawiła syna na ziemi i chwyciła rączki wózka, chłopcu jednak na tyle się to nie spodobało, że znowu zaczął płakać. W pierwszym odruchu Linda chciała go wziąć na ręce, ale spojrzała na jego włosy i na myśl, że mogłyby musnąć jej policzek, rozmyśliła się.

- Może ja popcham wózek - zaproponowała.

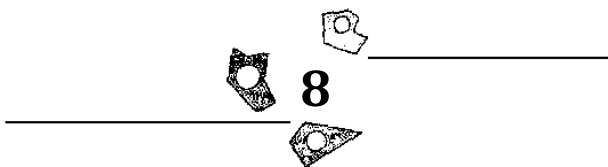
Pani Cook zgodziła się i ruszyły w stronę południowego wyjścia z ogrodów. Kiedy się rozstawały, Linda była rozczarowana, ponieważ mama Ethana przez całą drogę zasypywała ją gradem pytań, a o nim nie wspomniała ani słowem.

Dopiero kiedy się już pożegnały i pani Cook wsiadła do samochodu, opuściła okno i zawołała:

- Odwiedź nas! Ethan na pewno się ucieszy, kiedy cię zobaczy!

To ostatnie zdanie brzmiało w uszach Lindy jeszcze długo po tym, jak samochód pani Cook zniknął jej z oczu.

Ethan na pewno się ucieszy...?



Nikt nie wiedział, dlaczego Linda postanowiła pójść do szkoły dopiero po nowym roku, mimo że wróciła na Wielką Wyspę tydzień przed feriami. Nigdy nie należała do osób, dla których każdy powód jest dobry, byle tylko nie pójść do szkoły. Kiedy zdarzało jej się chorować, mama niemal siłą musiała zatrzymać ją w domu. Nic więc dziwnego, że wszystkich zaskoczyła jej decyzja. Wytłumaczyła, że chce się nacieszyć wolnością, i nikomu nie przyszło do głowy, że jest jakiś inny powód, dla którego zwleka z pójściem do szkoły.

Zawsze była dobrą uczennicą, jej rodzice zatem nie musieli się martwić, że tracąc ten tydzień, będzie miała zaległości, z którymi potem sobie nie poradzi. A to, że została w domu, było im nawet na rękę. Przed kilkoma laty na najdalej na zachód wysuniętym kawałku ziemi, która do

nich należała, założyli plantację orzechów makadamia. W tym roku pojawiły się pierwsze owoce i, jak na tak młode drzewka, plony okazały się niezwykle obfite. Powrót Lindy zbiegł się właśnie z końcówką zbiorów i każda para rąk była na wagę złota.

Praca nie była łatwa, ale Lindzie sprawiło przyjemność, że może pomagać i brać udział w czymś, co było tak ważne dla egzystencji rodziny. Wszyscy wracali z plantacji, kiedy robiło się już ciemno, tak wykończeni, że niemal zasypiali przy kolacji, ale w środę, mimo zmęczenia, byli wyjątkowo ożywieni. Tego dnia bowiem udało im się zebrać orzechy z ostatnich drzew i mogli świętować zakończenie zbiorów.

Kiedy zaczęli kolację, ktoś zajechał pod dom. Linda wyjrzała przez okno, ale nie rozpoznała, czyj to wóz. Dopiero gdy zobaczyła Coral, wysiadającą od strony pasażera, przypomniała sobie, że to samochód jej chłopaka. Po chwili ujrzała również Bruce'a. Ucieszyła się, ponieważ nie widziała przyjaciółki od tamtego poranka, kiedy odprowadziła ją do domu. Kilka razy rozmawiały przez telefon, ale nie miały okazji się spotkać - Linda była zajęta pomocą przy zbiorach, a Coral przygotowaniami do szkolnego przedstawienia bożonarodzeniowego.

- Cześć, wracamy z próby generalnej - powiedziała Coral, kiedy Linda wybiegła na werandę, żeby ich

przywitać. - I pomyślałam, że cię odwiedzimy.

- Cześć, cieszę się, że wpadliście. Wchodźcie.

Zanim weszli do środka, Linda wyściskała się z Bruce'em, którego widziała po raz pierwszy po powrocie.

Zarówno Coral, jak i Bruce, który przyjaźnił się z Mickiem i Terrym, braćmi Lindy, byli mile widzianymi gośćmi i nie dali się długo prosić, kiedy mama zaproponowała im kolację.

Przy jedzeniu rozmawiali głównie o zbiorach, ponieważ rodzice Bruce'a jako pierwsi w tej części wyspy założyli plantację orzechów makadamia i chłopak miał już w tym niezłe doświadczenie. Potem rozmowa zeszła na temat, którego na Hawajach nie może zabraknąć, jeśli w jakimś towarzystwie znajdzie się kilku chłopców w wieku od szesnastu do osiemnastu lat. To Mick pierwszy napomknął o surfowaniu.

Matka zbladła, ojciec nerwowo odchrząknął. Tylko dziadek popatrzył na syna i synową i powiedział:

- Dajcie już z tym spokój.

Linda uśmiechnęła się do niego i podziękowała mu wzrokiem.

Chłopcy rozmawiali więc dalej o jakimś nowym modelu desek surfingowych, a Linda i Coral zabrały się za sprzątanie po kolacji.

- I jak się udała próba generalna? - spytała Linda.

Jej przyjaciółka pokręciła głową.

- Nawet nie pytaj - rzuciła zrezygnowanym tonem. - Fatalnie.

- Nie wierzę. Musiałaś być świetna - odparła Linda z przekonaniem. Coral, jako najbardziej uzdolniona aktorsko dziewczyna w szkole, od kilku lat grała główne role w przedstawieniach bożonarodzeniowych i zawsze była doskonała.

- Wiesz, ile razy się pomyliłam?

- Na pewno z powodu tremy.

- No właśnie! - zawołała Coral. - Skoro dzisiaj na próbie miałam taką treść, to wyobrazasz sobie, co się będzie działo jutro?

- Jutro będziesz miała inną treść, taką, która ci pomoże. Zawsze tak było - przekonywała ją Linda. - Pamiętasz, jak w zeszłym roku... - Przerwała.

Przyjaciółka popatrzyła na nią z niepokojem. W zeszłym roku przed Bożym Narodzeniem nie było przedstawienia. Tego dnia, kiedy miało się odbyć, nawet o tej samej godzinie, uczniowie i nauczyciele z ich szkoły, zamiast siedzieć na widowni i podziwiać popisy swoich kolegów i podopiecznych, uczestniczyli w innym wydarzeniu. Zebrali się na cmentarzu, żeby pożegnać Zacha Willisa.

- Nie pamiętasz, że dwa lata temu było dokładnie tak

samo? - poprawiła się Linda. Ona również występowała wtedy w sztuce. Nie miała za grosz talentu aktorskiego i dostała tak małą rolę, że nawet nie musiała otwierać ust. - Na próbie generalnej się myliłaś, a potem byłaś rewelacyjna.

- Hm...

- Zobaczysz, pójdzie ci jak po maśle.

- Ale będziesz za mnie trzymać kciuki? - spytała Coral.

- No jasne! - zapewniła ją Linda.

- A na koniec będziesz głośno bić brawo? Nawet jeśli nikt inny nie będzie tego robił?

Linda, która właśnie się nachylała, żeby włożyć półmisek na dolną półkę zmywarki, nagle się wyprostowała. Nie wybierała się na jutrzejsze przedstawienie.

I przyjaciółka, widząc zaskoczenie malujące się na jej twarzy, od razu się tego domyśliła.

- Nie mów, że nie przyjdiesz! - zawołała z niedowierzaniem Coral.

- Będę musiała pomóc mamie w domu - powiedziała cicho Linda. - Za kilka dni są święta, wiesz, jak to jest.

- Nie zrobisz mi tego. Musisz przyjść.

- Co jest, dziewczyno? - Matka Lindy wstała od stołu, stanęła obok córki i objęła ją ramieniem. - O czym tak gorączkowo rozprawiacie?

- Linda nie chce przyjść jutro na szkolne

przedstawienie - poskarżyła się Coral. - A ja czułabym się o wiele pewniej, gdybym wiedziała, że jest na widowni.

- Dlaczego nie chcesz iść? - zdziwiła się matka.

Linda nie zdążyła odpowiedzieć; zrobiła to za nią przyjaciółka:

- Mówi, że będzie musiała pomagać w domu w przygotowaniach do świąt.

- No wiesz! - rzuciła matka. Spojrzała na Lindę i pokręciła głową. - Do świąt zostało jeszcze kilka dni. Mamy mnóstwo czasu. Oczywiście, że pójdziesz. Nie chcesz popatrzeć na Coral i innych przyjaciół?

Linda nie miała pojęcia, jak jeszcze mogłaby wytłumaczyć swoją nieobecność na szkolnym przedstawieniu. Chyba że powiedziałaaby prawdę.

A prawda była taka, że potwornie się bała spotkania z Ethanem Cookiem.

I jednocześnie bardzo chciała go zobaczyć.



Spóźnili się przez Celię, dziewczynę Terry'ego. Ponad pół godziny nie mogła się zdecydować, w co się ubrać, aż w końcu posłuchała Lindy i włożyła skromną czarną sukienkę. Ale kiedy mieli już ruszać spod jej domu, poprosiła Terry'ego, żeby chwilę poczekał. Wskoczyła z samochodu, pobiegła do domu i zniknęła. Nie wracała tak długo, że Terry już chciał po nią iść, ale w chwili, gdy otwierał drzwi, wyszła na werandę w zupełnie innym stroju.

Linda pokręciła głową. Nie chodziło o to, że Celia nie posłuchała jej rady, ale o to, że, jak na szkolne przedstawienie, czerwona, bardzo krótka sukienka na ramiączkach, którą Celia miała na sobie, była stanowczo zbyt wyzywająca. Linda powstrzymała się jednak z komentarzem, zwłaszcza kiedy zauważyła, że Terry jest zachwycony wyglądem swojej dziewczyny i wcale mu nie

przeszkadza to, że przyjadą do szkoły za późno.

Linda nie lubiła się wprawdzie spóźniać, ale tym razem nie miała do Celi pretensji. Dzięki temu, że weszli na widownię jako ostatni, kiedy były już zgaszone światła, odsunął się w czasie moment, którego najbardziej się obawiała.

Przez chwilę stali w wejściu, rozglądając się za Marshą i Bruce'em, którzy mieli dla nich trzymać wolne miejsca. Dostrzegli ich w trzecim rzędzie i ruszyli w ich stronę w chwili, gdy uniosła się kurtyna.

- Cześć, Linda!

- O, Linda!

- Popatrz, Linda Summer wróciła.

- Linda, fajnie, że jesteś!

Zrobiło jej się niezwykle przyjemnie, kiedy, idąc przejściem w stronę sceny, słyszała powitania, widziała uśmiechy. W szkole w Seattle nawet po roku wciąż zdarzało jej się spotykać ludzi, przy których miała wrażenie, że widzi ich po raz pierwszy w życiu. Tu wszystkich znała, a ta świadomość dawała jej poczucie, że jest u siebie.

- Cześć, Linda! - zawołał Billy Lyman.

W pierwszej klasie obciął jej pół warkocza i od tego czasu go nie lubiła. Chyba jednak tylko wydawało jej się, że go nie lubi, bo teraz z przyjemnością popatrzyła na jego trochę bezczelną piegowaną buzię, uśmiechnęła się i

pomachała mu.

- Pssst. - Pani Thompson, nauczycielka angielskiego, odwróciła się, żeby go uciszyć, ale na widok Lindy sama nie mogła się powstrzymać i mimo że na scenie pojawili się już pierwsi aktorzy, powiedziała głośno: - Witaj, Lindo.

Coral, do której należała pierwsza kwestia w sztuce, najwyraźniej zwlekała z wypowiedzeniem jej, aż na widowni zapanuje spokój.

Linda zajęła miejsce i uniosła dłonie, pokazując jej, że trzyma kciuki.

Przyjaciółka nieznacznie kiwnęła głową na znak, że to widzi, i przedstawienie się rozpoczęło.

Linda przez cały pierwszy akt ścisnęła kciuki tak kurczowo, że potem przez kilka dni miała na dłoniach ślady po paznokciach. A przecież już po pięciu minutach wiedziała, że Coral jest fantastyczna i doskonale poradziłyby sobie i bez tego.

Pierwsza przerwa upłynęła na powitaniach i uściskach z koleżankami i kolegami oraz z nauczycielami. Nawet pan Yamaguchi, matematyk, zwykle bardzo zasadniczy i oschły, po przyjacielsku poklepał ją po ramieniu, co, jak na niego, było niezwykle wylewnym przywitaniem.

Miło ją zaskoczyły te wszystkie przejawy serdeczności, ale było coś, co nie pozwalało jej cieszyć się nimi

w pełni. Co chwila łapała się na tym, że jej wzrok błądzi po foyer. Ich szkoła była wprawdzie niewielka, ale teatr, dobudowany przed kilkoma laty do głównego budynku, był taki, że mogłaby nim się poszczycić niejedna duża szkoła w wielkim mieście i miał prawdziwe foyer, z kolumnami, załomami i wnękami.

To właśnie przez te załomy, kolumny i wnęki Linda miała utrudnione zadanie, kiedy błędząc wzrokiem po tłumie uczniów, nauczycieli, rodziców i innych zaproszonych gości, próbowała wypatrzeć tę jedyną twarz, którą chciała ujrzeć najbardziej na świecie.

Mimo że bała się tego jak niczego innego na świecie.

Zobaczyła ją dopiero pod sam koniec drugiej przerwy.

Ethan stał daleko, w jednej z wnęk, odwrócony do niej plecami. Był z braćmi, Timem i Rossem. Obaj byli od niego młodszy, więc górował nad nimi wzrostem.

Właśnie rozległ się drugi dzwonek, ale nie ruszyła się z miejsca. Marsha, która jej towarzyszyła, powiedziała coś, lecz Linda nie zwróciła na to uwagi.

Ktoś ją potrącił. Wszyscy szli już na swoje miejsca. Foyer powoli pustoszało. W końcu Marsha pociągnęła ją za ramię.

- Chodź już! - rzuciła nieco zniecierpliwiona. - Coral cię zamorduje, jeśli po raz drugi się spóźnisz i znowu będzie musiała czekać z wypowiedzeniem swojej kwestii.

Linda ruszyła za nią, ale po paru krokach odwróciła się. I wtedy zobaczyła twarz Ethana. Zmienił się. Spowaźniał, a rysy mu się wyostrzyły. Nie był już tym chłopakiem sprzed roku. Był młodym mężczyzną.

Przypomniała sobie, jak jego matka powiedziała coś podobnego o niej - że stała się kobietą.

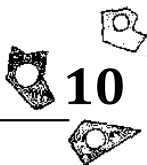
Przypomniała sobie również, co pani Cook mówiła, gdy się rozstawały - że Ethan ucieszy się, kiedy ją zobaczy.

Nie ucieszył się.

Ludziom, którzy się cieszą, twarz nie blednie tak jak jemu, a usta nie ściągają się w wąską kreskę.

Nie wiedziała, czy nieznaczny ruch, który zauważyła, był skinieniem głowy, tak samo jak nie była pewna, czy otworzył usta, czy nie, a jeśli je otworzył, to po to, żeby powiedzieć jej „Cześć”, czy mówił coś do swoich braci.

Po przedstawieniu, kiedy wszyscy zasypywali Coral gratulacjami, Linda zarzucała sobie, że właściwie nie wie, co się działo w trzecim akcie. Miała tylko nadzieję, że Coral nigdy się nie dowie, że jej najlepsza przyjaciółka, zamiast śledzić to, co dzieje się na scenie, myślami była zupełnie gdzie indziej.



Tego wieczoru Linda nie wróciła do domu z braćmi. Terry i Mick, wraz Celią i jej koleżanką Tresh, wpadli na pomysł, żeby wybrać się do Hilo na pizzę. Oczywiście, chcieli zabrać Lindę, ale ona nie miała ochoty ani na wypad do miasta, ani na pizzę, ani też na towarzystwo gadatliwej Tresh, która trochę ją irytowała. Ucieszyła się więc, gdy Coral i Bruce zaproponowali, że podrzucą ją do domu.

Kiedy w drodze Coral powiedziała, że chętnie zostałyby u niej na noc, Linda w pierwszej chwili nie była tym zachwycona. Nie miała nastroju do babskich pogaduszek, ale pomyślała, że Coral na pewno chce się z nią podzielić wrażeniami ze spektaklu. Jakaż byłaby z niej przyjaciółka, gdyby odmówiła?

- Fajnie! - zawołała, mając nadzieję, że Coral nie będzie miała jej za złe, że zbyt długo się wahała.

Bruce wszedł z nimi na chwilę do domu, wypił szklankę mocno schłodzonego soku ananasowego, którym poczęstowała go mama Lindy, i pożegnał się, tłumacząc, że skoro świt musi jechać do Hilo i powinien jak najszybciej położyć się spać.

Coral odprowadziła go do drzwi, po czym wróciła do kuchni.

Mama odgrzała i postawiła przed dziewczętami talerze z parującą *'ulu vichyssoise*, zupą z porów, ziemniaków i owoców drzewa chlebowego, po czym powiedziała „Dobranoc” i zostawiła je w kuchni same.

Coral zjadła swoją porcję, podniosła się i podeszła do kuchenki, żeby sprawdzić, czy w garnku jeszcze coś zostało. Było prawie pół garnka, ale głupio jej było pytać, czy może sobie wziąć dokładkę.

Linda, widząc to, roześmiała się. Wstała, wzięła talerz przyjaciółki i naląła tyle zupy, że z trudem doniosła ją do stołu.

- A Mick i Terry? - spytała trochę zawstydzona Coral. - Wystarczy dla nich?

- Przecież pojechali na pizzę - odparła Linda, machając ręką. - Zresztą widziałas, ile jeszcze zostało.

- Nikt nie gotuje takiej pysznej *'ulu vichyssoise* jak twoja mama.

- To prawda. Wiesz, jak mi brakowało tej zupy w

Seattle? Byłam do tego stopnia zdesperowana, że chciałam ugotować ją sobie sama i zadzwoniłam do mamy, żeby mi dała przepis.

- I co? Jak ci wyszła?

- W ogóle mi nie wyszła, bo nigdzie nie mogłam dostać owoców chlebowca.

Coral zerknęła na talerz Lindy.

- Jakoś nie widzę, żebyś się tak za nią bardzo stęskniła - powiedziała, zauważywszy, że przyjaciółka prawie nie ruszyła swojej porcji.

- Hm... Coś nie idzie mi dzisiaj jedzenie. Może z powodu gorąca.

Dzień był rzeczywiście wyjątkowo duszny, ale Hawajczycy tak są przyzwyczajeni do upałów, że nikt nie zwraca na nie szczególnej uwagi. Poza tym, kiedy jechali ze szkoły, spadł ulewny deszcz, po którym powietrze zrobiło się przyjemne i rześkie.

Coral przez chwilę przyglądała się przyjaciółce, jakby się nad czymś zastanawiała.

- Właśnie dlatego chciałam dzisiaj u ciebie spać - powiedziała dość niepewnym głosem.

Linda wystraszyła się, że Coral może chcieć rozmawiać o czymś, o czym ona wolałaby nie mówić. Żeby ukryć niepokój, roześmiała się i rzuciła z pozorną beztroską:

- Nie wygłupiaj się! Chciałaś u mnie spać, dlatego że jest duszno? Przecież macie w domu dużo lepszą klimatyzację od naszej. Niedawno ją wymienialiście, a nasza... - Miała nadzieję, że jeśli wysili się na dowcip, uda jej się zwieść przyjaciółkę. - Nasza na pewno pamięta atak na Pearl Harbour.

Coral jednak nie doceniła jej poczucia humoru. Spojrzała na nią poważnie.

- Przecież dobrze wiesz, dlaczego chciałam z tobą zostać.

- Myślałam, że chcesz porozmawiać ze mną o przedstawieniu.

Coral machnęła ręką.

- A o czym tu gadać? Cieszę się, że jakoś poszło, że nie potknęłam się na scenie i nie poleciałam na twarz, że się nie zacięłam, nie zapomniałam tekstu, nie dostałam czkawki ani nie beknęłam, i tyle.

Linda przez chwilę się zastanawiała, czy w ogóle by zauważyła, gdyby któraś z tych rzeczy przytrafiła się przyjaciółce w trzecim akcie. Prawdopodobnie nie. Mimo to zapewniła ją:

- Wypadłaś wspaniale. Nawet nie wiesz, jaka byłam z ciebie dumna.

- Dzięki, ale naprawdę nie zostałam u ciebie, żeby mówić o przedstawieniu. Myślisz, że nie zauważyłam, co się

dzisiaj stało?

Linda od razu pomyślała o swoim krótkim spotkaniu z Ethanem. Ale przecież niemożliwe, żeby Coral coś o nim wiedziała. W czasie drugiej przerwy była w garderobie i przygotowywała się do trzeciego aktu. Chyba że wspomniała jej o tym Marsha...

Natychmiast jednak odrzuciła tę możliwość. Ona, Marsha i Bruce po zakończeniu spektaklu razem opuścili widownię i poszli za kulisy, żeby pogratulować Coral. Potem, kiedy czekali, aż gwiazda wieczoru zmyje sceniczny makijaż i się przebierze, pojawiła się mama Marshy, pani Lincoln, która uczyła w szkole śpiewu, i Marsha wyszła z nią z teatru. Nie miała więc okazji pomówić z Coral sam na sam. A nawet gdyby rozmawiały, to cóż takiego mogła jej powiedzieć? Nie była nawet pewna, czy Marsha w ogóle zauważyła spojrzenia, jakie wymieniła z Ethanem.

- A co się takiego stało? - spytała.

- Nie udawaj, że nie wiesz.

Linda pokręciła głową.

- Nie wiem.

- Sądzisz, że nie widzę, jaka jesteś przygnębiona?

Linda spuściła wzrok. Wzięła do ręki łyżkę, nabrała zupy, ale kompletnie odechciało jej się jeść, zresztą zupa i tak już wystygła.

- I domyślam się, co cię tak przygnębiło - oznajmiła

Coral.

Linda zaniepokoiła się, że przyjaciółka coś wie o niej i Ethanie.

- Widziałam wszystko - ciągnęła Coral. - Myślałaś, że tego nie dostrzegłam, prawda?

Linda kiwnęła głową.

Jak to możliwe, że tak długo była przekonana, że nikt, nawet najbliższa przyjaciółka, nie zna jej tajemnicy? I dlaczego Coral nie wspomniała o tym aż do dzisiaj?

A wydawało jej się, że nikt nigdy się nie dowie...

- Posłuchaj - zaczęła Coral ostrożnie. - Nie powinnaś się rym aż tak przejmować.

Linda uśmiechnęła się gorzko.

- Nie powinnam się aż tak przejmować - powtórzyła cichym, przygnębionym głosem. - Może mi jeszcze powiesz, jak to zrobić?

- Wszyscy się do tego przyzwyczailiśmy. Ona zawsze się tak zachowuje, nie tylko wobec ciebie.

Linda patrzyła na przyjaciółkę, coraz szerzej otwierając oczy. O co jej, na miłość boską, chodzi? Co za ona? Była pewna, że Coral chce z nią mówić o Ethanie.

- Zawsze, kiedy spotyka koleżanki albo kolegów Zacha - ciągnęła Coral - zachowuje się tak, jakby miała im coś za złe.

Do Lindy wreszcie dotarło, o co chodzi.

Kiedy we trójkę szli do samochodu Bruce'a, spotkali na parkingu matkę Zacha. Czekwała na swoją córkę Pat, która grała jedną z drugoplanowych ról. Linda powiedziała „Dobry wieczór”, ale pani Willis nie odpowiedziała. Zanim się odwróciła, Linda przez kilka sekund widziała jej ściągniętą bólem twarz.

Na parkingu było dość ciemno, mimo to dostrzegła, że matka Zacha nie patrzyła w tym momencie ani na Coral, ani na Bruce'a, tylko na nią. Dla Lindy była ta bardzo nieprzyjemna chwila, która kładła cień na ten wieczór, ale szybko o niej zapomniała i wróciła myślami do Ethana.

Teraz, kiedy rozumiała, o czym mówi Coral, odczuła ulgę, ale jednocześnie pomyślała, że jest okropnie bezduszna. Jak mogła się tak skupiać na Ethanie, skoro bliscy Zacha wciąż cierpieli tak, jakby do tragedii doszło wczoraj?

- Nie miej do niej pretensji - powiedziała Coral.

- Pretensji? Do pani Willis?

Linda pokręciła głową.

- Jak mogłabym mieć do niej pretensje? Straciła syna. Pewnie mnie też obciąża winą. I wcale jej się nie dziwię. Rozumiem ją.

- Ciebie?! Przestań! Dlaczego miałyby obciążać ciebie?

- Bo byłam dziewczyną Zacha. Mogłam go powstrzymać.

- Daj spokój, dobrze wiesz, że to nieprawda. Poza tym to wcale nie jest tak, jak myślisz. Ona nie obciąży winą nikogo. Po prostu po śmierci Zacha jeszcze nie zblizniły się w niej rany i kiedy spotyka jego przyjaciół, znów sobie wszystko przypomina. Uwierz mi, ona nie tylko wobec ciebie tak się zachowuje.

- Byłam jego dziewczyną - powiedziała cicho Linda. - I czuję, że nie zrobiłam wszystkiego, co mogłam, żeby go powstrzymać.

- Nie byłabyś w stanie nic zrobić - rzuciła Coral z przekonaniem.

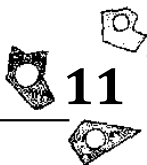
Linda poczuła pod powiekami łzy.

Pokręciła głową.

- Nie wiesz wszystkiego... - Głos jej się załamał.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Opowiem ci, tylko najpierw sprzątnijmy te talerze i chodźmy do mojego pokoju - zaproponowała Linda, wycierając kciukiem łzy.



To była niedziela. Po obiedzie Linda została w domu sama. Rodzice z dziadkiem wybrali się w odwiedzinę do brata taty i mieli wrócić dopiero późnym wieczorem. Mick i Terry surfowali. Linda, kiedy ją zapytali, czy z nimi pojedzie, najpierw powiedziała, że tak, ale szybko się rozmyśliła. Mogła być pewna, że na plaży będzie Zach, a nie chciała go widzieć. Po tamtej sprzeczce w Ogrodach Lili'uokalani przestali ze sobą rozmawiać.

Nie czuła się winna i miała nadzieję, że Zach, kiedy ochłonie i uświadomi sobie, jak okropnie się zachował, przeprosi ją. Niczego takiego nie zrobił, co więcej, kiedy spotykali się w szkole, wydawał się ciężko obrażony i zachowywał tak, jakby oczekiwał przeprosin od niej.

Od ich wyjazdu do Hilo upłynęły dwa tygodnie i choć nie doszło do żadnej ostatecznej rozmowy, powoli

uświadamiała sobie, że ona i Zach nie są już parą. W tym wszystkim najdziwniejsze dla niej było to, że wcale z tego powodu nie cierpiała. A przecież był jej pierwszym chłopakiem i kiedy przed siedmioma miesiącami zaczęli się spotykać, była w nim nieprzytomnie zakochana.

Zastanawiała się, czy rzeczywiście aż tak się w nim kochała, czy tylko to sobie wmówiła, ponieważ był pierwszym chłopcem, który poważnie się nią zainteresował. A jednak wytyżając pamięć, przypominała sobie pierwsze randki, niecierpliwość, z jaką na nie czekała, ulgę, gdy Zach wreszcie się zjawiał, ściskanie w dołku, kiedy ją obejmował, i to uczucie towarzyszące pierwszym pocałunkom, którego nawet nie potrafiła nazwać. Tego wszystkiego sobie nie wmówiła, czuła to naprawdę. Była w nim wtedy zakochana, bez dwóch zdań.

Więc dlaczego teraz nie czuła bólu? Dlaczego nie płakała, nie rozpaczała?

Odpowiedź wydała jej się prosta. Zach zniszczył jej uczucie, w taki sam sposób, w jaki zniszczył swoje przyjaźnie.

W ciągu tych dwóch tygodni uświadomiła to sobie jasno i wyraźnie. Nie cierpiała, ale była przygnębiona, ponieważ skończyło się coś, co jeszcze niedawno wydawało jej się takie ważne.

Snując się bez celu po domu, trochę żałowała, że

jednak nie pojechała z braćmi. Plaża była na tyle duża, że wcale nie musiałyby się spotkać z Zachem. Zawsze surfował na jej południowym końcu, tam gdzie były najwyższe fale.

Szkoda, pomyślała i w tym momencie przypomniała sobie, że Terry poprzedniego dnia przywiózł z wypożyczalni kilka filmów. Ucieszyła się, kiedy zobaczyła, że pomyślał również o niej i wypożyczył romantyczną komedię z Meg Ryan.

Właśnie wkładała płytę do odtwarzacza, kiedy pod dom z dzikim rykiem zajechał samochód. Nie musiała wyglądać przez okno, by wiedzieć, kto przyjechał. Zachowi przed miesiącem popsuł się tłumik w samochodzie, a że wszystkie oszczędności wydał na nową deskę, nie miał go za co naprawić.

Pomyślała, że pewnie się zjawił, żeby ją przeprosić, i wcale jej się to nie spodobało. Podjęła już decyzję i wydawało jej się, że nawet nie będzie musiała jej Zachowi komunikować, że obędzie się bez dramatycznych scen i bez wielkich słów. Nie miała żadnego doświadczenia w takich rozmowach, ale przeczuwała, że nie należą do najprzyjemniejszych.

Nie chciała, żeby Zach wchodził do domu, więc szybko wyszła na werandę i tam go przywitała.

- Cześć! - rzucił, wyraźnie zasapany.

- Cześć. Wyglądasz, jakbyś tu przybiegł, a nie

przyjechał - powiedziała dosyć chłodno, przypatrując mu się uważnie.

Kilka razy odetchnął głęboko, zanim znów się odezwał. Nie sprawiał wrażenia chłopaka, który chce się pokajać i szuka odpowiednich słów. To ją nieco uspokoiło.

- Mam do ciebie wielką prośbę - powiedział w końcu.

- Prośbę?

- Wiesz, że muszę mieć na jutro to cholerne wypracowanie?

Z niedowierzaniem pokręciła głową i nie mogła sobie odmówić złośliwego uśmiechu.

- Wszystkim udało się je napisać już dwa tygodnie temu, tylko tobie jakoś nie - zauważyła.

- Pani Thompson zgodziła się, żebym je przyniósł jutro.

- Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego to zrobiła.

- Ważne, że się zgodziła - powiedział Zach, wzruszając ramionami. - No i właśnie w związku z tym mam do ciebie prośbę.

Linda znów z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Po tym, jak się zachowałeś w Lili'uokalani, przez dwa tygodnie nie zdobyłeś się na to, żeby mi powiedzieć „przepraszam”, nawet się nie wysiłałeś, żeby powiedzieć mi „cześć”, kiedy spotykaliśmy się w szkole, a dzisiaj masz odwagę przyjechać tu i prosić, żebym ci w czymś pomogła?

- Przepraszam - rzucił.

- Zach, daj spokój, w ogóle nie przyszłoby ci do głowy, żeby mnie przeprosić, gdyby nie to, że chcesz, żebym ci pomogła pisać wypracowanie.

Przez chwilę milczał, a potem pokręcił głową.

- Nie chcę, żebyś mi pomogła.

- Nie? Wiec o co ci właściwie chodzi?

- Chciałem, żebyś je za mnie napisała.

Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Ależ ty masz tupet!

- Lindo, proszę cię. Obiecuję, że to już ostatni raz. Nigdy więcej cię o nic takiego nie poproszę.

Nie dalej jak kilka godzin temu myślała o tym, że Zach jest niesłowny, że wykorzystuje ludzi. I właśnie to potwierdzał.

- Nie pamiętasz, jak w Lili'uokalani mówiłeś, że już nie poprosisz mnie o pomoc?

- Nie bądź taka... Lindo...

- Dlaczego właściwie miałabym to zrobić? - spytała. Nie dlatego, że zaczynała się wahać, chciała po prostu poznać sposób jego myślenia, który wydał jej się zupełnie niezrozumiały.

- W końcu jesteś moją dziewczyną.

Uśmiechnęła się ironicznie.

- Jestem twoją dziewczyną tylko wtedy, kiedy ci to

pasuje - powiedziała i natychmiast się poprawiła: - Byłam. - Popatrzyła mu w oczy i powtórzyła, cicho, ale bardzo wyraźnie: - Byłam.

- No coś ty! To była tylko zwykła sprzeczką. Robisz z igły widły.

- Nie, nie robię. I powiem ci coś jeszcze. Ty wcale nie potrzebujesz dziewczyny. Ani dziewczyny, ani przyjaciół, ani nikogo. - Wskazała ręką tył jego pikapa. - Ta deska to jedyne, czego ci trzeba.

Nerwowo spojrział na zegarek.

- Posłuchaj, porozmawiamy o tym kiedy indziej, dobrze? - Wyrażnie się niecierpliwił. Starał się wprawdzie, żeby nie było tego słychać w jego głosie, ale zupełnie mu to nie wychodziło.

- Nie będziemy już o tym więcej rozmawiać - oświadczyła Linda. - Nie ma o czym.

- Jak to nie ma?

- Zach, ja już podjęłam decyzję i jej nie zmienię. Nie będziemy się więcej spotykać.

Wyglądał na tak przejętego, że przemknęło jej przez myśl, czy nie była zbyt obcesowa i czy nie powinna mu tego powiedzieć trochę łagodniej. Jednak kilka sekund później zrozumiała, jaka jest naiwna. Zach bowiem wcale nie przejął się tym, że z nim zerwała.

- No dobrze - rzucił. - Nie chcesz już być moją

dziewczyną, to trudno. Nic na to nie poradzę. Ale to nie znaczy, że nie możesz być koleżanką. - Znów popatrzył na zegarek.

- Gdzie ci się tak śpieszy? - spytała, chociaż doskonale znała odpowiedź.

Właściwie, skoro chciała się z nim rozstać, powinna się cieszyć, że bardziej niż zerwaniem przejmuje się tym, że może stracić fale, ale z drugiej strony, gdy uświadomiła sobie, że zupełnie mu na niej nie zależy, poczuła się trochę zraniona w swojej dziewczęcej dumie.

Patrzyła na chłopaka, którego kiedyś kochała, i zastanawiała się, jak mogła być aż tak ślepa.

- Lindo, proszę cię, za godzinę mają być takie fale, jakich jeszcze na Wielkiej Wyspie nie było.

Jak dobrze znała tę śpiewkę.

- Zach, takie fale mają być mniej więcej raz w miesiącu. I jakiegokolwiek by były, dla ciebie wciąż będą za małe. Ty i tak dalej będziesz czekał na tę swoją największą, wymarzoną. Będziesz na nią czekał i czekał, i nie zauważał, co po drodze tracisz. Czas, przyjaciół, życie...

- Lindo, błagam cię, nie mogę jutro nie zanieść tego wypracowania. Pani Thompson dała mi ostateczny termin. Proszę...

Patrzył na nią oczami chorego człowieka. Dużo później zrozumiała, że był chory, w taki sam sposób, jak

chorzy są narkomani czy alkoholicy. Wtedy jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy, ale zaczęła mu współczuć. I nie miała pojęcia, że współczucie w takich sytuacjach nie jest dobrym doradcą.

- Proszę, Lindo... Błagam...

Był żałosny. Poczowała się okropnie, kiedy uświadomiła sobie, że właśnie traci resztki i tak ostatnio mocno nadwątlonego szacunku do Zacha. Chciała, żeby sobie poszedł.

- Dobrze, napiszę ci to wypracowanie - burknęła, nie wiedząc, co mogłaby jeszcze zrobić, żeby jak najszybciej znikł jej z oczu.

Pewnie nawet gdyby wiedział, dlaczego się zgodziła, wcale by się tym nie przejął.

Tam, na plaży, czekały na niego fale.

- Jesteś kochana! - zawołał i nie tracił już więcej czasu.

Ze smutkiem patrzyła, jak biegnie do swojego pikapa i próbuje włączyć silnik. Stała daleko, ale słyszała jego przekleństwa, ponieważ silnik nie chciał zaskoczyć. Kilka razy nerwowo przekręcał kluczyk w stacyjce, w końcu cisnął nim o ziemię, wyskoczył z samochodu i zaczął z całej siły kopać w błotnik.

Linda skrzywiła się. Nie chciała dłużej przyglądać się tej scenie. Kiedy się odwróciła, żeby wejść do domu, usłyszała nadjeżdżający samochód.

To był Ethan Cook. Dziadek mówił, że Ethan ma mu dzisiaj przywieźć pożyczone narzędzia do naprawy łodzi, ale zupełnie o tym zapomniała.

Znała go od pierwszej klasy. Kiedyś się przyjaźnili, ale od czasu, jak zaczęła się spotykać z Zachem, coś się popsło. Chłopcy dawno temu pokłócili się przy surfingu i nie przepadali za sobą nawzajem.

Nic więc dziwnego, że Lindę zaskoczyło to, że Zach przywitał się z nim jak z najlepszym przyjacielem. Po chwili wiedziała już dlaczego.

- Człowieku, z nieba mi spadłeś! - zawołał.

Zdumiony Ethan spojrzał na niego pytająco.

- Musisz mnie podwieźć na plażę - rzucił Zach. - Ten gruchot znowu się rozkraczył - dodał i ponownie kilka razy kopnął w błotnik.

- Nie bardzo mogę. Muszę jechać do Hilo.

- No to się świetnie składa. Wysadzisz mnie przy plaży. Potem poproszę Terry'ego, żeby mnie tu przywiózł i może razem uda nam się uruchomić tego grata. - Znów z całej siły przykopał w błotnik.

Perspektywa podwiezienia go wyraźnie się Ethanowi nie podobała.

- Chciałem jechać Drogą Starego Douglasa - powiedział.

- A jaka to różnica, czy pojedziesz tamtędy, czy wzdłuż

oceanu? - Zach, nie czekając na jego zgodę, zdjął deskę z bagażnika pikapa.

- No, taka, że wzdłuż oceanu jest dużo dalej.

- Daj spokój, kilka kilometrów różnicy. - Zach lekceważąco machnął ręką i już kładł deskę pod plandeką samochodu Ethana. - A w ogóle to nie rozumiem, jak możesz jechać do Hilo, skoro dzisiaj mają być takie fale.

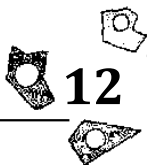
- Wiesz, nie dla wszystkich świat kręci się wyłącznie wokół deski surfingowej - odparł Ethan spokojnie. Widział, że dalsza rozmowa i tak nie ma sensu, ponieważ Zach siedział już w jego samochodzie.

Ethan spojrział na Linde, a kiedy rozłożyła ręce, wzruszył tylko rękami, powiedział „cześć” i odjechał.

Wtedy po raz ostatni widziała Zacha.

Nie, nie po raz ostatni...

Zobaczyła go kilka godzin później, na wulkanicznej skale w północnej części plaży, ale takiego nie chciała go pamiętać.



- Nikomu jeszcze nie mówiłaś o tym ostatnim spotkaniu z Zachem? - spytała Coral.

Leżały w ciemności - Linda w swoim łóżku, jej przyjaciółka w łóżku Meg.

- Nikomu.

Coral, słuchając jej, ani razu się nie odezwała. Nawet wtedy, gdy Linda na długo przerywała swoją opowieść.

Teraz też milczała. W pewnym momencie Linda pomyślała, że przyjaciółka już zasnęła, ale Coral nie spała.

- Może teraz, kiedy to z siebie wyrzuciłaś, będzie ci trochę lżej - powiedziała.

- Może. W każdym razie dzięki, że mnie wysłuchałaś.

- Już dawno chciałam cię o to zapytać, ale wołałam nie naciskać.

- I za to też ci dziękuję.

- Myślisz, że uda ci się zasnąć? - spytała Coral.

- Hm...

Zaniepokojona Coral podniosła się na łóżku.

- Chcesz jeszcze pogadać?

- Kładź się i śpij - powiedziała Linda. Spojrzała na budzik stojący na nocnej szafce. - Jest wpół do drugiej, a ty musisz przecież iść do szkoły.

- Phiii! Wiesz, jak to jest w ostatni dzień przed feriami. Żadna szkoła.

- Mimo wszystko postaraj się zasnąć - poradziła jej Linda.

- A ty?

- Ja też spróbuję. Dobranoc. I dziękuję, że zostałeś dzisiaj u mnie.

- Wiesz, że zawsze zostanę, jeśli tylko będziesz tego potrzebowała.

- Wiem, ale teraz już śpij. Dobranoc.

- Dobranoc.

Linda leżała na wznak. Oczy miała otwarte. Wpatrywała się w ścianę przed sobą tak uporczywie, że w końcu dostrzegła na niej pasma. Noc była tak jasna, że światło księżyca przedostawało się przez szpary w okiennicach. Linda liczyła te pasma od góry do dołu, potem od dołu do góry, i znów od góry, i za każdym razem wychodziła jej inna liczba. Więc próbowała liczyć od nowa.

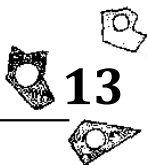
Kiedy usłyszała leciutko świszczący miarowy oddech dochodzący z drugiego łóżka, odczekała chwilę, by mieć pewność, że przyjaciółka śpi, i dopiero wtedy przewróciła się na prawy bok i zamknęła oczy.

Czy czuła ulgę po tym, jak Coral dowiedziała się, jak przebiegało jej ostatnie spotkanie z Zachem?

Nie, nie czuła.

Ale może gdyby znalazła w sobie dość odwagi, by opowiedzieć jej o tym, co zdarzyło się potem - w tym czasie, gdy Zach czekał na swoją falę i kiedy ta upragniona fala wreszcie nadeszła...

Może wtedy poczułaby ulgę?



Linda wróciła do domu, wzięła do ręki kasetę z filmem, który zamierzała obejrzeć, zanim zjawił się Zach, i schowała ją z powrotem do pudełka.

Nie była w nastroju do oglądania filmów, zwłaszcza komedii romantycznych, a poza tym nie miała na to czasu. Musiała się wziąć za pisanie wypracowania.

Poszła do swojego pokoju, włączyła laptop i minęło sporo czasu, zanim udało jej się skleić pierwsze zdanie. Wypracowania nigdy nie stanowiły dla niej problemu; z angielskiego była najlepsza w klasie, dotąd jednak nie miała pojęcia, jak ciężko jest pisać o czymś, o czym się już raz pisało. A w dodatku musiała zrobić to tak, żeby pani Thompson niczego się nie domyśliła.

Właśnie, pani Thompson...

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że ta sprawa ma

jeszcze inny wymiar.

Oszustwo. Brała udział w obrzydliwym oszustwie.

Jak mogła nie pomyśleć o tym wcześniej?

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej to, co miała zamiar zrobić, było dla niej odrażające. Cała ta sytuacja wydawała jej się okropna i groteskowa.

W przyпіywie wściekłości wykasowała pierwszy akapit, który z trudem udało jej się napisać, i z trzaskiem zamknęła komputer, nawet się nie wylogowując.

Po chwili jednak doszła do wniosku, że musi zrobić to, do czego się zobowiązała. Nie była Zachem i nie zostawiała ludzi na lodzie, mimo że on zasłużył sobie na to bardziej niż ktokolwiek inny.

Chciała odzyskać skasowany kawałek, ale jeśli chodzi o komputery, miała dwie lewe ręce, więc się nie udało. Próbowała sobie przypomnieć, jak brzmiał ten pierwszy akapit, lecz zdania, które kleciła, były koślawe i nie miały sensu.

- Nie napiszę tego! - zawołała i poczuła się tak wściekła i jednocześnie bezradna, że aż się rozplakała.

Nie zwróciła uwagi, że pod dom zajeżdża samochód. Dopiero gdy usłyszała wołanie, zorientowała się, że ktoś się zjawił.

- Lindo!

Szybko przetała oczy, żeby nie było widać śladów łez,

i wybiegła z pokoju. Drzwi wejściowe były otwarte i stał w nich Ethan.

- Pukałem, ale pewnie nie słyszałaś, więc wszedłem.

- Miałaś przecież jechać do Hilo - przypomniała mu.

Chłopak spuścił wzrok i przez chwilę milczał; wreszcie pokręcił głową.

- Nie, nie miałem.

- Rozumiem. Nie chciałaś zawozić Zacha na plażę i wymyśliłaś ten wyjazd do Hilo.

Ethan, wyraźnie zawstydzony, skinął głową.

- Przepraszam cię - powiedział.

- Mnie? Za co?

- To w końcu twój chłopak, a nie chciałem mu zrobić takiej małej przysługi.

- Daj spokój, przecież wiem, że go nie lubisz.

- Hm... - Był zakłopotany.

Linda ceniła go za to, że przez siedem miesięcy, kiedy spotykała się z Zachem, nigdy nie pozwolił sobie wobec niej na najmniejszą krytykę jej chłopaka i wstrzymywał się z wszelkimi komentarzami. Teraz również potrafiła docenić jego powściągliwość.

Ethan przez jakiś czas przestępował z nogi na nogę.

Lindzie przemknęło przez głowę, że może powinna go poprosić o radę w związku z wypracowaniem dla Zacha. Nie zrobiła tego jednak z tej prostej przyczyny, że było jej

wstyd. Nie potrafiłby zrozumieć, że zamierza wziąć udział w oszustwie; był na to zbyt uczciwy.

- No to ja już pójdę - powiedział cicho. - Nie będę ci przeszkadzał. Cześć...

- Cześć. A Zach nie jest już moim chłopakiem.

Wydawało jej się, że nie mógł tego usłyszeć - tak szybko wyszedł. Nie zdążyła go nawet zapytać, po co właściwie wrócił. Kiedy za nim wybiegła, już zdążył zapalić silnik i ruszył. Odjeżdżając, nie odwracał się. Była pewna, że nie widzi jej, stojącej na werandzie.

Nagle usłyszała pisk opon. Ethan zahamował, włączył wsteczny bieg i zaczął się cofać. Zatrzymał się tuż przed domem, tak że wystraszona Linda odskoczyła do tyłu.

Wtedy sobie przypomniała, po co tu dzisiaj przyjechał.

- Zapomniałeś zostawić narzędzia dziadka, tak? - spytała, kiedy wysiadł z samochodu.

- Nie, zostawiłem je przed garażem, zanim wszedłem do domu.

Popatrzyła za jego wyciągniętą ręką i zobaczyła przy drzwiach garażu starą skrzynkę, w której dziadek trzymał narzędzia.

- Podziękuj dziadkowi - powiedział Ethan.

- Skoro już wcześniej zostawiłeś te narzędzia, to znaczy, że wracałeś tu na wstecznym biegu tylko po to, by mnie poprosić, żebym podziękowała dziadkowi?

- Nie, wracałem, bo dotarło do mnie, co powiedziałaś, kiedy wychodziłem.

Linda milczała. Stała na najniższym schodku werandy, Ethan na ziemi, tak że ich oczy były na tym samym poziomie. Patrzył na nią tak wnikliwie, że nie mogła wytrzymać jego wzroku i żeby przed nim uciec, usiadła na środkowym schodku.

- Dlatego płakałaś? - spytał. - Przez niego?

A jednak nie udało jej się zetrzeć śladów łez.

- To nie takie proste - szepnęła.

- Jest proste. Płakałaś przez niego? Dlatego, że zerwaliście ze sobą?

Najpierw pokręciła, a potem kiwnęła głową.

- Nie rozumiem - powiedział Ethan. - Tak czy nie?

- Nie, bo nie płakałam dlatego, że ze sobą zerwaliśmy.

I tak, bo płakałam przez niego.

Widząc, że dziewczyna musi unosić głowę, żeby na niego patrzeć, przysiadł obok niej na najniższym schodku.

Uśmiechnęła się.

Nie miał pojęcia, dlaczego się uśmiecha, spojrzał więc na nią pytająco.

- Pamiętasz, kiedyś często tak siadaliśmy? - przypomniała mu.

Jego twarz również rozjaśnił uśmiech.

- I potrafiliśmy gadać całymi godzinami - dodał. Jego

uśmiech znikł równie szybko, jak się pojawił. - Co on ci zrobił?

- Zach?

Ethan skinął głową.

Był spokojnym chłopcem. Nigdy nie słyszała, żeby się awanturował, nie uczestniczył w bójkach, jakie czasami zdarzały się między chłopakami. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że mógłby być wobec kogokolwiek agresywny. Ale teraz ujrzała w jego oczach błysk złości.

- Zach nic mi nie zrobił. To ja sama sobie zrobiłam.

- Co się stało?

Długo się zastanawiała, czy wyznać mu prawdę, ale wiedziała, że będzie dociekał, a poza tym czuła, że sama sobie z tym nie poradzi.

Opowiedziała mu wszystko, zaczynając od sprzeczki w Ogrodach Lili'uokalani, a kończąc na tym, jak dziś w przyływie głupoty, po tym jak już zerwała z Zachem, zgodziła się napisać za niego wypracowanie.

Kiedy mówiła, twarz Ethana coraz bardziej się zmieniała. Widziała, że jest wściekły i że chwilami musi się powstrzymywać, żeby jej nie przerywać.

- Nie możesz tego zrobić! - zawołał, kiedy skończyła.

- Nie mogę tego nie zrobić - odparła spokojnie.

- Oczywiście, że możesz!

- Powiedziałałam mu, że napiszę to wypracowanie, więc

muszę je napisać. Wiem, że zgadzając się, popełniłam błąd, ale teraz nie mam już wyjścia.

Zorientował się, że nic nie osiągnie, jeśli będzie ją przekonywał zbyt gwałtownie, zniżył więc głos i zaczął mówić spokojniej:

- Zastanów się. Jeśli człowiek popełnia błąd i zdaje sobie sprawę, że go popełnia, najgorsze, co może zrobić, to brnąć w to dalej.

Milczała, bo przecież trudno było się nie zgodzić z tym, co mówił.

- Jeśli to zrobisz, będziesz żałowała, zobaczysz.

Temu również nie mogła zaprzeczyć.

- Będziesz mogła spojrzeć w oczy pani Thompson? - spytał Ethan.

Pani Thompson była osobą wyjątkową i miała w ich szkole szczególną pozycję. Była sprawiedliwa, wyrozumiała i nigdy, ale to przenigdy nie wykorzystywała przewagi, jaką dawała jej relacja nauczyciel - uczeń. Nic więc dziwnego, że nawet największym cwaniakom w szkole nigdy nie przychodziło do głowy, żeby w jakiś sposób ją przechytryć lub oszukać. To byłoby po prostu nie fair.

Skrzywiła się.

- Ethan, proszę... - powiedziała i ukryła twarz w dłoniach. - Nie wspominaj pani Thompson.

- Mogę nie wspominać, ale jutro na pierwszej lekcji ją

zobaczysz.

Oderwała dłonie od twarzy i potrząsnęła głową, jakby chciała z niej wyrzucić wszystkie troski.

- I jeszcze coś. - Popatrzył jej prosto w oczy. - Czy ty naprawdę uważasz, że w ten sposób mu pomagasz?

- Nie wiem...

- Więc się zastanów - powiedział i długo się nie odzywał, dając jej czas do namysłu.

Po kilku minutach wstał.

- Mógłbym zadzwonić do domu? - zapytał. - Pewnie zaczynają się już o mnie martwić. Miałem tylko odwieźć narzędzia i zaraz wrócić.

- No jasne. Wiesz, gdzie jest telefon. - Dawniej często ją odwiedzał, była więc pewna, że nie zapomniął.

Ethan wszedł do domu. Nie było go dwie, może trzy minuty, ale to wystarczyło Lindzie na podjęcie decyzji.

- Załatwione - rzucił Ethan, siadając obok niej na schodku.

- A może powinieneś już jechać - powiedziała, chociaż wcale nie chciała zostać sama.

Pokręcił głową.

- Nigdzie nie pojedę, dopóki cię nie przekonam.

- Już mnie przekonałeś.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Nie napiszesz za niego tego wypracowania?

- Nie. Boję się, co będzie, kiedy mu to powiem, ale nie napiszę.

- Jeśli chcesz, poczekam z tobą na Zacha - zaproponował.

- Myślisz, że sama sobie nie poradzę?

- Bo ja wiem? - Ethan zamyślił się.

- Daj spokój. Wścieknie się, to pewne, może trochę pokrzyczy, ale jakoś to przeżyje.

- Słuchaj, niezręcznie mi to mówić, bo w końcu był twoim chłopakiem i może ci być przykro...

- Co masz na myśli? - spytała.

- Zach czasami bywa nieobliczalny.

Przypomniała sobie, jak kopał w bagażnik swojego pikapa, ale to nie oznaczało, że może być agresywny wobec niej. Nieprzyjemny, owszem. Nawet opryskliwy, ale przecież nic jej z jego strony nie groziło.

- Nie. - Pokręciła głową. - Cokolwiek o nim myślę, nie sądzę, żeby mógł być niebezpieczny. Poza tym wróci pewnie z Terrym i Mickiem.

Zdała sobie sprawę, że to, co powiedziała, mogło zabrzmieć tak, jakby chciała się Ethana pozbyć, więc dodała szybko:

- Ale jeśli masz czas i ochotę, zostań.

- Szczerze mówiąc, wolałbym zostać.

- Zaczekaj chwilę, przyniosę coś do picia. - Wstała i

otwierając drzwi, spytała: - Soku, wody czy coli?

- Może być sok.

Poszła do kuchni i zajrzała do lodówki. W dzbanku była resztką soku., która pozostała po śniadaniu, ale w pojemniku na owoce znalazła kilka ananasów z plantacji Hamiltonów, które poprzedniego dnia przywiozła mama Coral. Wybrała największy, umyła, pokroiła na kawałki i włożyła do sokowirówki. Przełała sok do dzbanka, wzięła dwie szklanki, a kiedy wychodziła z kuchni, przypomniała sobie o ciasteczkach, które rano upiekła z mamą. Nałożyła kilkanaście na talerz, postawiła wszystko na tacy i wyszła przed dom.

- Już chciałem iść po ciebie - powiedział Ethan, kiedy Linda postawiła tacę na schodku i usiadła.

- Skończył się sok i musiałam wyciskać - wyjaśniła, podsuwając mu talerz. - Spróbuj tych ciasteczek.

- Pyszne. - Zjadł jedno i natychmiast sięgnął po następne.

Zbliżał się wieczór, od morza wiała przyjemna bryza. W milczeniu pili sok i jedli ciasteczka, patrząc na słońce zachodzące za czarnymi wulkanicznymi skałami.

Nagle Ethan się uśmiechnął.

- Wiesz, że jest szansa na to, żebyś wreszcie miał siostrę? - powiedział radosnym głosem.

- Naprawdę? Twoja mama jest w ciąży?

- Dopiero w drugim miesiącu. Nic jeszcze nie wiadomo, ale czuję, że tym razem będzie dziewczynka.

Kiedy jego matka chodziła w ciąży z Chrisem, też czuł, że to będzie dziewczynka. Bardzo kochał braci, ale od lat marzył o siostrze i teraz był tak rozpromieniony, że Linda nie chciała mu psuć nastroju, przypominając o tym, że kiedyś przeczucia go omyliły.

- I będzie miała na imię Christina, tak?

- No pewnie!

Spojrzała na niego i poczuła dziwny ucisk w piersi. Szybko odwróciła wzrok i spojrzała na skały, które w ostatnich promieniach słońca stały się ciemnogatowe.

- O czym tak myślisz? - spytał Ethan po jakimś czasie.

- Hm...

- Zastanawiasz się, co mu powiesz, tak?

- Nie, naprawdę nie.

- Więc o czym?

- Właściwie to sama nie wiem o czym - odparła wymijająco, chociaż dobrze wiedziała.

Myślała o nim, o tym, że ma te wszystkie cechy, które starała się znaleźć w Zachu, i o tym, dlaczego to Zach, a nie on, zainteresował się nią na tyle, że siedem miesięcy temu umówili się na randkę.

Poczuła, że to pewnie nie jest w porządku - myśleć o chłopaku zaledwie kilka godzin po tym, jak się zerwało z

innym. Z drugiej strony, wcale nie chciała z tymi myślami walczyć.

Spojrzała na Ethana i zorientowała się, że na nią patrzy, a później wszystko potoczyło się jakby samo. Zaparło jej dech, kiedy dotknął jej włosów i odgarnął je za uszy. Zadrżała, gdy poczuła na policzkach jego dłonie. A potem - żadne z nich nie miało pojęcia, jak do tego doszło - zaczęli się całować.

Przestawali na krótką chwilę, żeby zaczerpnąć tchu, i znów się całowali.

Odskoczyli od siebie, dopiero kiedy usłyszeli ryk silnika.

Linda pośpiesznie zaczęła poprawiać włosy. Widziała tylko światła nadjeżdżającego samochodu, ale po warkocie silnika rozpoznała, że to jeep Terry'ego, a to oznaczało, że za chwilę zobaczy Zacha.

Zaczęła wpadać w panikę. Ethan wyczuł to, ujął jej dłoń i delikatnie ucisnął. Uśmiechnęła się. Nagle poczuła w sobie siłę i już nie bała się spotkania z Zachem i jego reakcji na to, co zamierzała mu powiedzieć.

Zach nie przyjechał z jej braćmi. Terry wyskoczył z samochodu, Mick został w środku.

Zanim Terry się odezwał, wiedziała już, że stało się coś strasznego.

Nie pamiętała drogi na plażę, niewiele pamiętała z tego, co działo się potem. Dopiero kilka dni później dowiedziała się, że morze wyrzuciło zwłoki Zacha na skałę kilka minut przed tym, jak zjawiła się tam razem z Terryem, Mickiem i Ethanem.

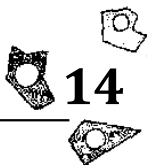
W głowie pozostał jej niewyraźny obraz tego, jak pan Lincoln, miejscowy szeryf, próbował ją powstrzymać, gdy biegła w kierunku skał. Był potężnym mężczyzną i nie miała pojęcia, skąd znalazła w sobie tyle siły, żeby mu się wyrwać. Bracia i Ethan przybiegli za nią.

Terry na siłę próbował ją odwrócić, kiedy patrzyła na zmasakrowane zwłoki, ale mu się nie udało.

Wtedy Ethan wziął ją za ramiona i zdołał kawałek odciągnąć. Wyrwała mu się i zaczęła walić go pięściami w pierś i krzyżeć rozzwierającym głosem:

- To przez ciebie! To twoja wina! Po co go tu przywiozłeś?

Więcej już nic nie pamiętała.



Przez szpary w okiennicach do pokoju wpadało ostre światło. Linda przetarła oczy i spojrzała na łóżko Meg. Było puste.

Przeciągnęła się, wstała i otworzyła okiennice. Ocean był spokojny. Do przystani właśnie podpływała łódź. Przez chwilę przyglądała się z podziwem, jak dziadek, mimo wieku, sprawnie sobie radzi z cumowaniem. Wracał już z połowu, a ona dopiero co wstała z łóżka.

Szybko wzięła prysznic, ubrała się i poszła do kuchni. Matka siedziała przy stole i siekała orzechy makadamia. Najwyraźniej już się zabrała za przygotowania do świąt. Linda podeszła do niej i pocałowała ją w policzek.

- Cześć, mamuś.

- Cześć, skarbie.

- Coral już nie ma? - spytała Linda. - Nawet nie

słyszałam, jak wstała.

- Dwie godziny temu pojechała z Terryem i Mickiem. Podwieźli ją najpierw do niej do domu, żeby się przebrała, a potem mieli razem jechać do szkoły.

- Biedna, musiała być bardzo niewyspana. - Linda wzięła z miseczki garść orzechów i zaczęła je chrupać.

- Przy śniadaniu ziewała tak, że gdyby nie zasłaniała sobie buzi, mogłaby połknąć wieloryba.

Linda roześmiała się.

- Musiałyście trajkotać do późnej nocy, co? - spytała mama.

- No, trochę nam zeszło.

Dziewczyna wyspała do miseczki płatki kukurydziane i wlała mleko.

- Dodaj trochę orzechów - poradziła jej matka, podsuwając te już posiekane.

- Tylko zjem i zaraz ci pomogę.

Zanim Linda zjadła śniadanie, do kuchni wszedł dziadek. Po rozpromienionych oczach widać było, że połów był obfity.

- Cześć, dziadku. Co ci się dzisiaj udało złowić? - spytała.

- Cztery *mahinahi*, sześć *opakapaka* i pięć *onaga*, nie licząc *ulua* i *ono* - oznajmił z dumą.

Te pierwsze trzy gatunki ryb były tak cenne, że

rzeczywiście mógł już nie liczyć pozostałych.

- Jesteś mistrzem, dziadku - powiedziała Linda. -
Zrobić ci kawy?

Wiedziała, że kiedy wraca z morza, lubi usiąść na werandzie w swoim bujaku i wypić kubek kawy. Nie czekając na odpowiedź, zaczęła mu ją przygotowywać.

- To znaczy, że jedziesz dzisiaj do Hilo, prawda? -
spytała, podając mu kubek.

Jeśli udało mu się złowić *mahinahi*, *opakapaka* czy *onaga*, jeden z hoteli przy Banyan Drive kupował je od niego w każdej ilości.

- No pewnie, że jadę - odparł. - Wypiję tylko kawę i zaraz ruszam. A co, chcesz się wybrać ze mną?

Zastanawiała się chwilę.

- Do Hilo nie. Ale gdybyś mógł mnie gdzieś podrzucić...?

- Dokąd?

Linda ucieszyła się, że mama wyszła z kuchni. Na pewno by się zmartwiła, gdyby usłyszała, dokąd się córka wybiera.

- Na cmentarz.

Teraz on się zastanawiał.

- W porządku, wezmę cię - odrzekł po dłuższej chwili.

- Ale kto cię stamtąd odbierze? Ja będę wracał nie wcześniej niż za trzy godziny.

- To dobrze. Chciałabym tam trochę pobyc.

Miała wrażenie, że dziadek przewierca ją tymi swoimi przenikliwymi oczami na wylot. Wreszcie skinął głową.

- Dopij kawę, a ja pójde się przebrać, dobrze? - powiedziała.

Na Hawajach w szortach i T - shircie można pójść właściwie wszędzie, Linda jednak nie uważała, że jest to odpowiedni strój na cmentarz.

Długo nie mogła się zdecydować, co włożyć, aż w końcu wybrała niebieską spódnice do kolan i cienką jasnobeżową bluzeczkę.

Kiedy wyszła na werandę, dziadek już siedział w samochodzie.

- Zaczekasz jeszcze chwilę?! - zawołała i pobiegła za dom, gdzie matka miała swój ukochany ogródek kwiatowy. Właśnie w nim pracowała.

- Mamo, mogłabyś dla mnie ściąć trochę kwiatów?

- Po co ci?

Linda wołała teraz nie mówić. Uznała, że lepiej będzie, jeśli po powrocie powie jej, że była na cmentarzu. Po co mama niepotrzebnie miałaby się martwić?

- Chciałabym je komuś zanieść.

- W porządku. Ale czemu jesteś taka tajemnicza?

- Powiem ci potem, dobrze?

Kochana mama. Z natury była taka wścibska, ale

czasem potrafiła to powściągnąć.

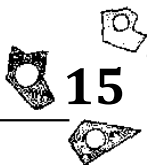
- Które chcesz? - spytała.

Linda rozejrzała się po jej królestwie.

- Plumerie są chyba najładniejsze, prawda?

Matka skinęła głową, ścięła pięć dorodnych kwiatów, o płatkach białych na zewnątrz i żółto - pomarańczowych w środku, i wręczyła je córce.

- Cudne - powiedziała Linda. - I jak pięknie pachną.



Dziadek chciał ją podwieźć pod sam cmentarz, ale mu podziękowała. Od szosy do cmentarza były wprawdzie ponad dwa kilometry, ale miała ochotę się przejść.

Dochodziło już południe, lecz stare figowce., rosnące po obu stronach krętej, wąskiej drogi, rzucały tak głęboki cień, że w ogóle nie czuła upału.

Im bardziej zbliżała się do cmentarza, tym bardziej zwalniała kroku. Po raz pierwszy miała zobaczyć grób Zacha. Nie była nawet na pogrzebie. Tamtego dnia leżała z wysoką gorączką i o niczym nie miała pojęcia.

Nie wiedziała, gdzie jest grób Zacha, ale miała mnóstwo czasu. Znajdzie go, nawet gdyby miała obejść cały cmentarz, zwłaszcza że był niewielki.

Kiedy wyszła zza ostatniego zakrętu, przystanąła. Przed bramą cmentarza stał samochód, czarny van, ten

sam, przy którym wczoraj na szkolnym parkingu matka Zacha czekała na córkę.

W pierwszym odruchu Linda chciała zawrócić, ale już było za późno, bo właśnie w bramie pojawiła się ubrana na czarno pani Willis.

Dziewczyna nie ruszyła się. Nie mogła jednak przecież tak stać na środku alei, czekając nie wiadomo na co. Zrobiła parę kroków, licząc na to, że jeśli będzie szła wystarczająco wolno, matka Zacha zdąży odjechać, zanim ona dojdzie do bramy cmentarza. Wprawdzie będą się musiały minąć, ale czym innym jest skinąć jej głową i zobaczyć ją w oknie jadącego samochodu, niż spojrzeć jej w oczy.

Tylko że pani Willis nie wsiadła do vana, a Linda nie mogła już iść wolniej. Widziała, że matka Zacha patrzy w jej stronę, zupełnie jakby na nią czekała. Poczowała przerażenie. Spodziewała się, że zrozpaczona kobieta wyleje na nią wszystkie swoje żale i prawdopodobnie obarczy ją winą za śmierć syna.

Zrozumiałwszy, że i tak tego nie uniknie, Linda przyspieszyła kroku. Pewnie zasłużyła na te przykre słowa, jakie za chwilę padną, i chciała mieć to już za sobą. Szła przed siebie wyprostowana, jak przestępca, który dobrowolnie zamierza się poddać karze.

Kiedy była już na tyle blisko, że wyraźnie widziała twarz matki Zacha, zaskoczyło ją, że nie dostrzega w niej tej

zaciętości, którą ujrzała wczoraj.

Wieczorem było zbyt ciemno i nie mogła zauważyć, jak bardzo pani Willis zmieniła się w ciągu tego roku. Kiedyś była atrakcyjną młodą kobietą. Teraz w jej delikatnych rysach wciąż dawało się dostrzec ślady urody, ale twarz miała wychudzoną i poorly zmarszczkami, a oczy straciły blask.

- Witaj, Lindo - powiedziała, zanim dziewczyna pierwsza zdążyła ją przywitać. Jej głos brzmiał spokojnie.

- Dzień dobry, pani Willis. - Linda zatrzymała się kilka metrów od niej, niepewna, czy iść dalej.

Matka Zacha dostrzegła to wahanie i sama podeszła, wyciągając do niej rękę.

Linda nie miała pojęcia, czy dłonie mogą cokolwiek mówić o zamiarach człowieka, ale jeśli tak, to w uścisku jej dłoni nie poczuła ani cienia wrogości.

- Czekałam na ciebie - powiedziała pani Willis, próbując się uśmiechnąć. - Chciałam cię przeprosić za wczoraj.

- Za co? - Linda poczuła nieopisaną ulgę. - Przecież nic się nie stało.

- Zachowałam się okropnie. Widzisz, czasami skupiam się tylko na swoim bólu i całkiem zapominam o tym, że inni też czują. Zwłaszcza wobec ciebie nie powinnam się tak zachowywać, bo przecież wiem, przez co przeszłaś.

Znów spróbowała się uśmiechnąć, i tym razem prawie jej wyszło.

- Dobrze, że wróciłaś. Wczoraj, kiedy cię zobaczyłam, nie mogłam się opanować, ale teraz...

Wciąż trzymała ją za rękę. Dłoń miała miękką i ciepłą. Linda uściśniła ją lekko.

- Teraz, kiedy na ciebie patrzę, cieszę się, że jesteś. Taka młoda, taka ładna...

Linda poczuła się okropnie. Nie zasługiwała przecież na serdeczność i dobroć tej kobiety.

- Ale... ale... - Kilka razy próbowała coś powiedzieć, lecz głos jej się załamywał. - Ale pani nie wie wszystkiego. - Zaczęła mówić szybko, w obawie, że się rozmyśli. - Jestem winna tego, co się stało. Mogłam powstrzymać Zacha, ale tego nie zrobiłam. Zanim pojechał na plażę, przyjechał do mnie i prosił, żebym za niego napisała wypracowanie z angielskiego. Gdybym... - głos znów zaczął jej się załamywać - gdybym się nie zgodziła, może nie pojechałby na tę przeklętą plażę.

Koło bramy, w cieniu olbrzymiej paproci, stała ławeczka. Pani Willis pociągnęła tam Lindę, a kiedy obie usiadły, popatrzyła jej w oczy.

- Dziecko, czy ty naprawdę myślisz, że cokolwiek albo ktokolwiek mógł go powstrzymać?

Linda słyszała od braci, jak to było tam, na plaży.

Kiedy fale stały się naprawdę groźne, wszyscy surferzy wyszli na brzeg i próbowali namówić Zacha, żeby zrobił to samo. W ogóle nie chciał o tym słyszeć. Nie tylko nie wyszedł, ale poszedł surfować na południowy koniec plaży, tam, gdzie nawet przy niskiej fali - z powodu zdradliwych podwodnych skał - zawsze było niebezpiecznie.

- Nie wiem - szepnęła Linda.

- Opowiem ci coś - powiedziała matka Zacha i westchnęła ciężko.

Dziewczyna domyśliła się, że to, o czym chce mówić, nie jest dla niej łatwe.

- Pamiętasz, jakie on miał wtedy kłopoty w szkole? - spytała pani Willis. - Ze wszystkich przedmiotów.

Linda kiwnęła głową.

- Próbowałam z nim o tym rozmawiać.

- Hm... Nie tylko ty. Próbowałam ja, próbował jego ojciec. Nic do niego nie docierało, kompletnie nic. Byliśmy zupełnie bezradni. W końcu ojciec zabronił mu surfować. Wiesz, że kiedy to się stało, Zach miał dwumiesięczny zakaz surfowania?

- Nie miałam o tym pojęcia. To znaczy, że pojechał wtedy na plażę bez państwa zgody? - Jakoś to jej wcale nie zdziwiło. To akurat było do niego bardzo podobne.

Pani Willis uśmiechnęła się gorzko.

- Ani ja, ani mój mąż nie byliśmy aż tak naiwni, żeby

mu wierzyć na słowo, więc mąż schował tę jego nową deskę w swoim warsztacie i zamknął go na klucz.

- Ale przecież wtedy, kiedy do mnie przyjechał, miał właśnie tę nową deskę. - Najbardziej „wypasioną” na Wielkiej Wyspie, przypomniała sobie.

- Ano miał. - Pani Willis otarła łzy z kącików oczu.

- Włamał się do warsztatu? - spytała Linda. To także jej nie zdziwiło, bo również było podobne do Zacha.

Pani Willis pokręciła głową.

- Nie dałby rady, za silny zamek.

- Więc jak się do niej dostał?

Kobieta schowała twarz w dłoniach. Kiedy ją po dłuższej chwili odsoniła, Linda wiedziała już, co się stało.

- Uprosił panią, żeby pozwoliła mu ją wziąć - powiedziała cicho.

Teraz matka Zacha już nie wycierała łez, ściekały jej po policzkach, szyi i dekolcie.

Linda tak bardzo ją rozumiała, tak bardzo chciała jej jakoś ulżyć, ale nie miała pojęcia jak.

Nie mogła zrobić nic poza tym, żeby wziąć jej rękę w obie dłonie i trzymać, dopóki matka Zacha nie przestanie łkać.

Potem długo siedziały w milczeniu. Pani Willis spojrzała na leżące na ławce kwiaty.

- Jakie piękne te plumerie - powiedziała.

- To dla...

- Tak pomyślałam.

Pani Willis wyjęła z torebki chusteczkę, otarła oczy i policzki i kilka razy odetchnęła głęboko.

- Wiesz, dlaczego opowiedziałam ci to wszystko? - spytała.

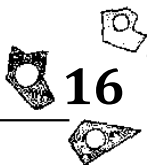
- Dlaczego?

- Żeby już nigdy więcej nie przyszło ci do głowy, że była w tym jakaś twoja wina.

- Rozumiem - szepnęła Linda. - I dziękuję. Naprawdę bardzo pani dziękuję.

- Bądź szczęśliwa, ciesz się życiem, bo naprawdę jest się czym cieszyć. Popatrz tylko.

Obok ławki rósł krzak hibiskusa o dużych szkarłatnych kwiatach. Kilka kolibrów, trzepocząc skrzydełkami, właśnie spijało z nich nektar.



Idąc za wskazówkami pani Willis, Linda z łatwością odszukała grób. Dziś była pierwsza rocznica śmierci Zacha, więc grób tonął w kwiatach. Musiała je nieco rozsunąć, żeby znaleźć miejsce dla swoich plumerii.

Zdjęcie na nagrobku było sprzed kilku lat. Uśmiechnięty, jedenasto - , może dwunastoletni chłopak z nieco zadziorną miną i oczami, w których jeszcze nie było tego błysku szaleństwa, jakie skaziło je potem.

Ponad kwadrans stała przy grobie i próbowała go sobie przypominać właśnie takiego. Czuła ulgę. Pożegnała się z Zachem i dopiero idąc do bramy, zdała sobie sprawę, jak bardzo to pożegnanie było jej potrzebne.

Kiedy wyszła z cmentarza, do przyjazdu dziadka została jeszcze ponad godzina. Umówili się, że będzie czekać na niego pod bramą. Mogłaby przejść aleją i

zaczekać przy szosie, ale tam trudno byłoby znaleźć kawałek cienia, a tu był przyjemny chłód i stała ławeczka.

Usiadła i znów zaczęła się przyglądać kolibrom. Nie wiedziała, czy to te same, czy może tamte odleciały, a przyleciały inne, żeby się pożywić nektarem z żółtych języków wystrzelających ze środków kwiatów.

Patrząc na nie, myślała o tym, co mówiła pani Willis o cieszeniu się życiem.

Kiedy usłyszała warkot silnika, zerwała się i spojrzała w głąb alejki, wypatrując samochodu dziadka. Ale zza zakrętu wyjechał nie zielony chevrolet, tylko inny, nieznany jej samochód. Spojrzawszy na zegarek, zrozumiała, że to nie mógł być dziadek. Żadną miarą nie zdążyłby w takim czasie dojechać do Hilo, załatwić swoich spraw przy Banyan Drive i wrócić tu po nią.

Przestała się interesować nadjeżdżającym samochodem i znów przyjrzała się kolibrom. Oderwała od nich oczy dopiero, kiedy koło bramy zatrzymała się srebrna terenowa toyota.

Zaparło jej dech w piersiach, gdy zobaczyła, że wyskakuje z niej Ethan. Nie zauważył jej, nawet nie spojrzał w stronę ławeczki. Nie zamknął za sobą drzwi samochodu i wszedł na cmentarz.

Chciała go zawołać, pobiec za nim, ale zarówno głos, jak i nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Dopiero po jakimś

czasie wstała i podeszła do bramy. Widziała, że Ethan właśnie doszedł do grobu Zacha. Stał tam chwilę - nie dłużej niż trzy minuty - a potem zaczął się rozglądać, jakby czegoś albo kogoś szukał.

Kiedy napotkała jego wzrok, pomyślała, że sprawia takie wrażenie, jakby szukał właśnie jej. Natychmiast jednak odrzuciła tę głupią myśl, bo niby skąd miałby wiedzieć, że tu jest, nawet gdyby z jakiegoś powodu jej szukał.

Szedł w jej stronę.

Przez chwilę się zastanawiała, czy ruszyć mu naprzeciw, czy poczekać. Zdecydowała się zostać, nie dlatego, że próbowała odwlec to spotkanie. Chodziło jej o coś zupełnie innego - nie chciała, żeby do niego doszło między grobami.

Cofnęła się więc o kilka kroków i czekała przy samochodzie, którym przyjechał. Dopiero teraz przypomniała sobie, że tym wozem jeździł kiedyś jego ojciec.

Wydawało jej się, że minęła cała wieczność, zanim znalazł się na tyle blisko, by mogła zobaczyć jego twarz.

- Cześć, Ethan - powiedziała drżącym z przejęcia głosem.

- Linda... - Głośno przełknął ślinę. - Szukałem cię..

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Twoja mama powiedziała mi, że pojechałaś zawieźć komuś kwiaty. Pamiętałem, że dzisiaj mija rok od śmierci Zacha, więc poskładałem wszystko do kupy.

- Dobrze cię widzieć - powiedziała Linda, uśmiechając się.

On też się uśmiechnął, ostrożnie, tak jakby się obawiał, że nie powinien, że mu nie wolno.

- Wiesz, wczoraj w szkole, kiedy cię zobaczyłem/tak kompletnie zgłupiałem, że... - znów musiał przełknąć ślinę, ponieważ głos zachrypł mu z emocji - że nie wiedziałem, ani co powiedzieć, ani jak się zachować.

- Ethan, jeśli ktokolwiek powinien tu przeproszać, to ja.

- Za co?

- Za to, co powiedziałam wtedy na plaży.

- Daj spokój, byłeś w szoku. Nie wiedziałaś, co mówisz. Nigdy, ani przez chwilę, nie miałem ci tego za złe.

- Masz rację, byłam w szoku i nie wiedziałam, co mówię. Tylko że od tego czasu minął rok, a ja byłam tak skupiona na sobie, na swoim poczuciu winy, że nie przyszło mi do głowy, że inni też czują. - Uśmiechnęła się, gdy uświadomiła sobie, że bezwiednie powtórzyła słowa matki Zacha.

- Dlaczego się tak dziwnie uśmiechasz?

Opowiedziała mu swą rozmowę z panią Willis.

- Wiesz, na co patrzyła, kiedy mówiła, żebym cieszyła się życiem, bo jest się czym cieszyć? - dodała na koniec.

- Nie mam pojęcia.

- Na to. - Linda wskazała ręką na kolibry przy krzaku hibiskusa. - I wiesz co? Chyba posłucham jej rady.

Ethan patrzył na nią. Jego twarz przez chwilę rozjaśniał uśmiech, odważny, niczym niezmacony. Ale potem znów spoważniał.

- Wiesz, co mnie najbardziej męczyło przez ten rok? - spytał.

Pokręciła głową.

- To, że wtedy, u ciebie na werandzie, wykorzystałem to, że byłaś przygnębiona i bezradna.

- Myślisz o...

Czuła, że się czerwieni. Słowo „pocałunek” jakoś nie chciało jej przejść przez usta. W ciągu minionego roku tyle razy go sobie przypominała, ale nie chciała o nim wspominać tu, blisko grobów.

- Myślę właśnie o tym - odparł Ethan.

- To nieprawda, wcale nie wykorzystałeś mojej słabości. - Pomyślała, że jeśli odejdzie od cmentarza, łatwiej jej będzie o tym mówić. - Masz czas, żeby się przejść?

- Jasne.

Ruszyli przed siebie i szli wolno środkiem alei.

- Nie wykorzystałeś mnie. - Linda wróciła do

przerwanej rozmowy. - Nie wiem, jak to się stało, ale ja też tego chciałam.

Przez chwilę milczeli. Ethan. Tym razem odezwał się pierwszy.

- A wiesz, co w tym wszystkim było najgorsze? To, że chociaż robiłem sobie wyrzuty, to i tak uważałem tamte chwile na werandzie za najpiękniejsze, jakie w życiu przeżyłem. Potrafisz sobie to wyobrazić?

- Potrafię, bo ze mną było podobnie - powiedziała Linda.

- Boże, jak ja za tobą tęskniłem przez ten rok...

Zatrzymali się i tak jak tamtego wieczoru, odgarnął jej włosy za ucho, a po chwili poczuła na policzku jego dłoń.

Tylko że teraz się nie pocałowali, mimo że oboje bardzo tego chcieli.

Stali, patrząc na siebie, a potem ruszyli aleją.

- Pamiętasz, jak tego wieczoru obserwowaliśmy zachód słońca i w pewnym momencie zapytałeś mnie, o czym myślę? - spytała Linda.

- Aha... Powiedziałaś, że właściwie o niczym.

- To była nieprawda. Zastanawiałam się nad tym, dlaczego to Zach, a nie ty, zainteresował się mną na tyle, żeby zacząć się ze mną umawiać.

Ethan uśmiechnął się smutno.

- Zainteresował...? - powtórzył za nią z goryczą w

głosie. - To nie jest dobre słowo. Nie byłem tobą zainteresowany, byłem w tobie zakochany.

Stała w miejscu i przyglądała mu się z niedowierzaniem.

- W żaden sposób mi tego nie pokazałeś - powiedziała, kręcąc głową.

- Bałem się.

- Czego?

- Chyba się obawiałem, że jeśli wystraszy cię moja miłość, to stracę też twoją przyjaźń.

Linda wciąż z niedowierzaniem kręciła głową.

- A potem - ciągnął Ethan - i tak ją straciłem, bo zaczęłaś się spotykać z Zachem. Nie masz pojęcia, jak wtedy cierpiełem.

- Nigdy tego nie zauważyłam.

- Wiesz, jak pracowałam nad tym, żebyś tego nie widziała?

- Wyobrażam sobie - odparła i tym razem to ona pogładziła go delikatnie po twarzy.

Ethan przytrzymał jej dłoń na swoim policzku, a potem objął Lindę i przytulił. Usta miała na wysokości jego szyi. Wystarczyło tylko, żeby albo ona uniosła nieco głowę, albo on trochę się schylił, ale żadne z nich nie wykonało tego ruchu.

Szli dalej, trzymając się za rękę.

- O czym myślisz? - spytał Ethan, kiedy zbliżyli się do szosy na tyle, że było ją widać.

- O tym, że powinniśmy wracać, bo jeśli nadjedzie dziadek, będziesz musiał sam iść do samochodu.

- Nieprawda, wcale nie o tym myślałaś.

- Masz rację, myślałam o czymś zupełnie innym.

- O czym? - dociekał.

- O tym, czy uda nam się kiedyś pocałować i czy zawsze będziemy się bać, że jeśli to zrobimy, to stanie się coś złego.

Ethan pokręcił głową.

- Nie, nic złego się nie stanie, obiecuję.

I nic złego się nie stało.

EPILOG

- Nie wierć się tak, bo ci wbiję igłę w pupę - po raz kolejny upomniała ją matka.

Linda jednak koniecznie chciała się odwrócić, żeby zerknąć do lustra.

- Mamo, to ja idę w tej sukience na bal maturalny, a nie ty, więc powinnam wiedzieć, jak w niej wyglądam.

- Zaraz zobaczysz, obiecuję. Muszę tylko zaznaczyć, gdzie zwęzić.

Linda uzbroiła się w cierpliwość i przez kilka minut stała bez ruchu niczym manekin w oknie wystawowym.

- Teraz możesz się obejrzeć - oznajmiła mama. - I co? Czemu nic nie mówisz? - Zaniepokoiła się, ponieważ córka od dłuższej chwili stała przed lustrem, jakby ją zamurowała.

- To naprawdę jestem ja? - spytała Linda z nie-

dowierzaniem.

Czasami sobie coś wymarzymy, a potem, kiedy to dostajemy, okazuje się, że to coś wcale nie jest takie fantastyczne, jak nam się wydawało.

Linda wymyśliła sobie na bal maturalny sukienkę z bladeżółtego, lejącego się jedwabiu, na wążiutkich ramiączkach, dopasowaną u góry, rozszerzającą się dopiero od bioder i naturalnie spływającą aż do ziemi, bez żadnych marszczeń, falbanek czy innych ozdób.

Sukienka była dokładnie taka, jak ją sobie wyobraziła, tyle że jeszcze piękniejsza niż w marzeniach.

- Jest cudna. - Linda obróciła się kilka razy, żeby zobaczyć, jak dół sukni będzie się układał w tańcu.

- Fiu, fiu! - zawołał Terry, wchodząc do pokoju. - Czy to moja siostra?

Linda wykonała przed nim jeszcze kilka obrotów.

- Wcale nie jesteś taka brzydka, jak mi się wydawało - zaczął się z nią droczyć Terry.

- Nienawidzę cię!

- I tak wiem, że mnie kochasz. A swoją drogą, to Ethan będzie musiał na ciebie uważać na tym balu. - Terry podszedł do okna, bo usłyszał, że ktoś podjeżdża pod dom. - No właśnie, o wilku mowa...

- Ethan? - zdziwiła się Linda. - Co on tu robi o tej porze? Powinien być w pracy w Hilo.

Od jakiegoś czasu w soboty pracował razem z Bruce'em w supermarkecie w Hilo.

- Przecież on nie może mnie zobaczyć w tej sukience! - zawołała przerażona. - To miała być niespodzianka!

- No to idź się przebierz, a ja go zatrzymam na werandzie.

- Dzięki. - Zanim wyszła z salonu, odwróciła się i przesłała bratu w powietrzu całusa. - Masz rację, jednak cię kocham.

- Uważaj, żebyś się nie przewróciła! - zawołała za nią mama. - I zdejmuj ją ostrożnie, żeby nie popękały fastrygi, bo nie będę wiedziała, ile zwęzić!

Pięć minut później Linda, przebrana w szorty i w top na ramiączkach, wyszła na werandę.

- Co ty tu robisz? Czemu nie jesteś w pracy? ~ spytała, zanim zdążyła się przywitać z Ethanem.

Podszedł do niej, objął ją i pocałował.

Jak cudownie się czuła, kiedy ją przytulał...

- Nie cieszysz się, że mnie widzisz? - zapytał.

- Pewnie, że się cieszę, *ale* zastanawiam się, *ca* z twoją pracą.

- Potem ci to wyjaśnię - powiedział i się uśmiechnął. - Masz czas, żeby gdzieś ze mną pojechać?

- Teraz? - zapytała, przyglądając mu się uważnie. Bardzo jej się wydał tajemniczy. - O czwartej ma wpaść

Coral.

- Do tego czasu dawno będziemy z powrotem.

- I nie powiesz mi, dokąd chcesz mnie porwać.

Ethan pokręcił głową.

- No dobrze, powiem tylko mamie, że gdzieś mnie zabierasz.

Mama na szczęście miała zaufanie do chłopaka córki i nie wypytywała o szczegóły.

Linda wróciła do Ethana i zanim wsiadła do samochodu, zobaczyła coś, co ją zdziwiło i trochę zaniepokoiło. Z bagażnika toyoty wystawała deska surfingowa, ta sama, którą kiedyś chciał od niego pożyczyć albo kupić Mick. A przecież od półtora roku, od śmierci Zacha, ani razu na niej nie stanął.

- Po co wozisz ze sobą tę deskę? - zapytała, sadowiając się w fotelu pasażera.

- Dowiesz się wszystkiego w swoim czasie.

- Ale co z twoją pracą? - To ją wyraźnie niepokoiło, wiedziała bowiem, jak zależało mu na tym, żeby ją zdobyć.

- Nie martw się, znalazłem inną.

- Jaką?!

Roześmiał się.

- Możesz mnie pytać, ile chcesz, a i tak nic więcej ci nie powiem.

Jechali w stronę Hilo. Ethan nie skręcił jednak w

Drogę Starego Douglasa, lecz pojechał wzdłuż oceanu. Lindzie przemknęło przez głowę, że może to mieć jakiś związek z deską, a kiedy zatrzymali się na poboczu, w miejscu, gdzie był najłatwiejszy dostęp do plaży, była już niemal pewna, że tak jest.

Niespokojnie przyglądała się Ethanowi, kiedy wyjmował deskę z bagażnika.

- Znowu zaczniesz surfować? - spytała, idąc obok niego przez zarośla.

- Lindo, proszę cię, wytrzymałaś już tyle, wytrzymaj jeszcze kilka minut.

- W porządku - zgodziła się i o nic już więcej nie zapytała.

Na plaży, jak zwykle w soboty, było wielu surferów. Kiedy zeszli po skałach, Ethan wziął ją za rękę i poprowadził w stronę grupy jedenasto - , dwunastoletnich dzieciaków. Był z nimi mężczyzna, który wydał jej się znajomy.

Po chwili przypomniała sobie, że widziała go, kiedy przyszła tu zaraz po powrocie z Seattle. Był instruktorem surfingu i udzielał pierwszych wskazówek dzieciakom w podobnym wieku jak ci tutaj.

- Cześć, Ethan! - zawołał.

- Cześć, Doug! - odparł Ethan. - Przyprowadziłem swoją dziewczynę - oznajmił. - Lindo, poznaj Douga.

Przywitała się z mężczyzną, który z daleka wyglądał znacznie młodziej. Miał wprawdzie chłopięcą sylwetkę, ale zmarszczki na twarzy świadczyły o tym, że przekroczył już czterdziestkę.

Zauważyła, że dzieciaki z ciekawością przyglądają się Ethanowi. Wkrótce dowiedziała się dlaczego.

- No dobra, chłopaki - powiedział Doug. - Poznajcie Ethana. Będzie waszym instruktorem surfingu.

A więc to jest ta praca, zrozumiała Linda i była tym tak zaskoczona, że zupełnie nie wiedziała, co myśleć.

Usiadła na piasku i przyglądała się Ethanowi, jak wita się po kolei z każdym dzieciakiem. Musiała przyznać, że wie, jak z nimi rozmawiać. No ale jeśli się ma tylu młodszych braci...

Potem usiadł na swojej desce, a chłopcy, patrząc w niego jak na guru, natychmiast zrobili to samo. Wszyscy poza jednym. Ten wcale nie miał ochoty iść za przykładem pozostałych.

- Kiedy wejdziemy do wody? - spytał niecierpliwie. - Są fale - dodał, wskazując na morze.

- Thomas, fale są zawsze. Fale ci nie uciekną - odparł Ethan.

- A właśnie, że uciekną!

- To przyjdą następne. Zawsze przychodzą.

Linda podziwiała go i za to, że zapamiętał imię

dzieciaka, i za to, że potrafił mówić do niego z takim spokojem.

- Zanim wejdziemy do wody - zaczął Ethan, kiedy Thomas wreszcie dał za wygraną i usiadł - spróbuję wam wyjaśnić, na czym polega jeżdżenie na desce. Ale jeszcze zanim to zrobię, muszę wam powiedzieć coś znacznie, znacznie ważniejszego.

Dzieciaki słuchały go z rozdziawionymi buziami.

- Surfing to fantastyczny sport. Nie wiem, czy jest wspanialszy. Mam nadzieję, że wkrótce wszyscy nauczą się łapać fale, stawać na desce, sunąć w skos fali, przodem do fali, tyłem, na krawędzi, i wierzę, że będziecie w tym dobrzy. Kto wie, może któryś z was zostanie mistrzem świata w surfingu, jak Kelly Slater albo Andy Irons.

Dzieciakom aż się zaświeciły oczy, zwłaszcza Thomasowi.

- Ale wcale nie musicie zostawać mistrzami - ciągnął Ethan. - Ważne, żeby surfing sprawiał wam przyjemność. - Przerwał i spojrzał na swoich podopiecznych, na krótką chwilę zatrzymując na każdym wzrok. - Najważniejsze jest to, żebyście pamiętali, że surfing nie zastąpi wam wszystkiego, że poza nim są jeszcze inne ważne rzeczy. Przyjaciele, szkoła, rodzina...

Znów zrobił krótką przerwę.

- Jest jeszcze coś. I tak naprawdę nie ma nic

ważniejszego od tego, co powiem wam teraz, Surfing może być niebezpieczny. - Znów zrobił pauzę, dłuższą niż poprzednie, jakby czekał, aż jego słowa dotrą do każdego dzieciaka. Potem na sekundę popatrzył na Lindę i ciągnął, dopiero kiedy się do niego uśmiechnęła i skinęła mu głową. - Jeśli kiedyś się zdarzy, że któryś z was poczuje, że grozi mu niebezpieczeństwo i w tym momencie natychmiast nie wyjdzie na brzeg, to znaczy, że powinien zapomnieć o surfingu i już nigdy, nigdy w życiu nie stanąć na desce.

- Umie z nimi rozmawiać, prawda? - szepnął Doug, który usiadł obok Lindy.

- Ma sześciu młodszych braci - powiedziała cicho. - A poza tym myślę, że wic, o czym mówi. To nie jest taka sobie gadka i mam nadzieję, że te dzieciaki to czują. Nie wiem, może któryś z nich koniecznie będzie chciał zostać następnym Bobem Simonsem... Mam nadzieję, że nie. Ale jeśli to, co w tej chwili mówi Ethan, dotrze choćby do jednego z nich, to i tak jestem dumna, że mam takiego dobrego i mądrego chłopaka.

Doug długo jej się przyglądał.

- To, co powiedziałaś, też nie było taką sobie gadką. Ty też wiesz, o czym mówisz, prawda?

- Wiem.